Rok XII. Nr. 3.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

Lipiec.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1906.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1906 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — XX. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

Ks. Maryan Apolinary Kamocki.

(Ciąg dalszy).

Cały rok pracował ks. Kamocki razem z ks. Jełowickim w parafii St. Cloud przez kazania i katechizacye, ale najwięcej i najskuteczniej działał już teraz w konfesyonale. Do St. Cloud coraz liczniej garnęli się polscy emigranci, by zaczerpnąć ożywczej miłości Boga w zastygłe na wygnaniu serca. Ks. Kamocki zostaje stałym przewodnikiem duchowym rodziny Czartoryskich, Działyńskich i Zamojskich; ściga jednak najgorliwiej dusze zbłąkanych rodaków, co tylko dlatego zapomnieli o Bogu, że ich nikt do Niego nie prowadził. „Mieliśmy wprawdzie najętych z Polski pasterzy — pisał Wielogłowski w natchnionej „Emigracyi wobec Boga“ [1]) — ale ci odbiegli nas, bo leniwi i do pasterstwa nie skorzy lub może nie zdolni, na zuchwałe kozły nie mieli dość siły. A więc na rozstajnych drogach popasaliśmy nieraz ostem i pokrzywą, piliśmy z kałuży zgniłą wodę fałszu. Bóg się nam zakrył, kościół się zamknął, a tylko otworzyły się dla nas szpitale i cmentarze“.

Praca ks. Kamockiego wzrosła w dwójnasób, kiedy ks. Jełowicki na polecenie arcybiskupa gnieźnieńskiego, ks. Dunina, wyjechał do Rzymu z tajną misyą. Dla osamotnionego ks. Maryana było teraz najmilszem zajęciem zwiedzanie miejscowego szpitala Sióstr Miłosierdzia, gdzie chorych podnosił na duchu jak anioł-pocieszyciel, jednając ich z Bogiem i zlewając w udręczone serca nadzieję lepszej przyszłości — nie wiedział, że w szpitalu tym znajdzie także dla siebie ukojenie i drogę do ostatniej przystani w życiu.

---

[1]) Emigracya Polska wobec Boga przez Wielogłowskiego. Wrocław, 1848 r., str. 111—112.

Jedna z Sióstr Miłosierdzia namawiała chorego do spowiedzi św., przewidując blizki jego koniec. Chory na wszelkie prośby odpowiadał szyderstwem i obelgą, splunął wreszcie w oczy swej opiekunce. Na to Siostra ani drgnęła, tylko otarłszy twarz, odezwała się z pogodnym uśmiechem: „jesteś nieszlachetny, mój bracie“ — i dalej namawiała do Sakramentów św., a chory, wzruszony do łez taką cierpliwością i zawstydzony własnym postępkiem, wyspowiadał się z głęboką skruchą. Ten przykład zaparcia siebie dla miłości zelżonego Zbawiciela podziałał silnie na duszę ks. Kamockiego, do której już od dłuższego czasu pukał Pan Bóg, wołając: *Amice, ascende superius* — Przyjacielu, posiądź się wyżej; ale cichy ten szept łaski rozbijał się o zapory, stawiane przez lękliwe sumienie. I w tym względzie podzielał ks. Maryan los przyjaciela, ks. Jełowickiego, bo i tam odzywało się powołanie do doskonalszej służby Bogu, lecz sumienie wikłało się w trudnościach bez wyjścia. „Bóg nas darzył pociechami nieprzebranemi kapłaństwa — list ks. Jełowickiego z 1843 r. [1]) — a do coraz doskonalszego żywota w głębi serc naszych zawsze powoływał. W tem jak we wszystkiem dobrem jam się jeszcze więcej od ciebie ociągał. Powołanie to przy każdej ofierze Mszy św. wołało do serca mego: nie dosyć, nie dosyć, lecz byłem przekonany, że mojem powołaniem jest służyć za organ skarg i prośby uciśnionemu Kościołowi naszemu u grobu św. Apostołów i u stóp Namiestnika Chrystusowego“. Jełowickiego wstrzymywała od przekroczenia progu zakonnego także troska o matkę i braci; ks. Kamocki zerwał już prawie wszystkie nici, wiążące go ze światem, reszta zerwała się sama, została tylko wątpliwość, do którego zakonu lub zgromadzenia Bóg go powołuje. Przyjaźń i miłość kraju rodzinnego wskazywały na tworzące się w Rzymie zgromadzenie Zmartwychwstańców: tam w pierwsze święto wielkanocne 1842 r., w katakumbach św. Seba-

---

[1]) Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego napisał ks. Paweł Smolikowski. Kraków, 1895 r., tom III., str. 110—111.

styana, złożyli w ręce ks. Semenki ślub posłuszeństwa ks. ks.: Hieronim Kajsiewicz, Józef Hube, Edward Duński, Hipolit Terlecki i Karol Kaczanowski — wszystko powstańcy z 1830 r., przyjaciele lub blizcy znajomi ks. Maryana [1]. Tam poszedł wreszcie po długich wahaniach najszczerzej ukochany towarzysz z seminaryum wersalskiego, ks. Jełowicki, który donosząc o swej decyzyi, dodał następującą radę: „Co zaś do ciebie, kochany Maryanie, proszę Boga, aby cię oświecił, jaki masz kierunek nadać powołaniu twojemu, w każdym razie radzę, ażebyś dla uzyskania w tem światła Bożego, odbył pielgrzymkę do Rzymu i nic nie przedsiębrał stanowczo, aż przy grobach Apostołów świętych". Spodziewał się prawdopodobnie Jełowicki, że w Rzymie Pan Bóg złączy go z ks. Kamockim znowu w jednem zgromadzeniu. Ks. Kamocki nie posłuchał rady przyjaciela, nie pojechał do Rzymu, bo dla niego wspomniany wyżej akt cierpliwości ze strony Siostry Miłosierdzia był ostatniem potrąceniem łaski, rozstrzygnął o wyborze zgromadzenia.

Ks. Etienne, wówczas prokurator generalny Zgromadzenia ks. ks. Misyonarzy, przychodząc do St. Cloud dla spowiedzi Sióstr, poznał ks. Kamockiego i przyrzekł mu poparcie, gdy wypowiedział swój zamiar wstąpienia do seminaryum u św. Łazarza. Pomimo, że rada domu centralnego nie przychyliła się do prośby dla późnego wieku kandydata (38 lat), ks. Kamocki nie odstąpił od raz powziętej myśli, bo odczuwał coraz głębszą cześć dla św. Wincentego, coraz silniejszy pociąg do jego Rodzin, zresztą uczucia te potęgowało całe otoczenie.

Kiedy w krwawym roku 1893. bezczeszczono w Paryżu kościoły i burzono ołtarze, kiedy chciano nawet imię Boga z mowy wyrugować, zażądano jednak wzniesienia statuy na cześć św. Wincentego, a dzisiaj ta statua, stojąca w Panteonie naprzeciwko pomnika Voltaire'a, jest jakby symbolem

---

[1] Ks. Smolikowski, op. cit., t. III., str. 115—223; Wielogłowski, op. cit., str. 102—140; Ks. Kajsiewicz, Pisma t. III. „Pamiętnik o początkach Zmartwychwstania Pańskiego".

tego dziwnego w Paryżu sąsiedztwa o jedną miedzę najwyższego poświęcenia z najniższym cynizmem, świata na wskroś chrześcijańskiego z pogańskiem zepsuciem. Razem z katolicyzmem odrodziła się we Francyi po rewolucyi lipcowej idea chrześcijańskiego miłosierdzia: cały Paryż zakwitnął instytucyami humanitarnemi, w stolicy, której atmosfera nasycona była zarazkami śmierci moralnej, odżył potężny duch św. Wincentego w Konferencyach, stworzonych przez sześciu młodych studentów paryskiego uniwersytetu; z przeniesionych 1830. r. do domu macierzystego Ks. Ks. Misyonarzy relikwii wielkiego „Ojca ubogich", poszedł po świecie nowy prąd, nowe drgnienie tej miłości bliźniego, co w XVII. w. milionom nędzarzy niosła z kawałkiem chleba lekarstwo serdeczne; siew, rzucony dłonią św. Wincentego, wydawał po 2 wiekach nowy plon — stokrotny. Ponieważ cała katolicka Francya stanęła teraz pod znakiem miłosierdzia, więc też nic dziwnego, że domy centralne Ks. Ks. Misyonarzy i Sióstr Miłosierdzia w Paryżu stały się ogniskami, rozlewającemi ciepło i życie na stowarzyszenia, które chciały pracować pod patronatem św. Wincentego. Jeżeli ogół francuskich katolików ożywiała szlachetna myśl poświęcenia, to tem jaśniej powinna była promienieć w Rodzinach, którym św. Założyciel zostawił jako najdroższy depozyt pracę wśród biedaków. Był to istotnie, dzięki Bogu, złoty okres w dziejach obydwu Zgromadzeń, przypominający najwięcej te dobre czasy, kiedy jeszcze sam św. Wincenty budował swe dzieci świętością życia: Bóg rozpalił w jednych sercach ducha ofiary aż do męczeństwa krwi, w drugie zlewał skarby wyjątkowych łask — ginie wtenczas za przykładem bł. Cleta, bł. Gabryel Perboyre; ks. ks. Aladel, Chinchon, Eugeniusz Vicart, Chevalier i wielu innych porywają przykładem cnoty; wśród Sióstr Miłosierdzia działa Rozalia Rendu, Katarzyna Labouré i późniejsza przełożona generalna, Siostra Devos. Na czele zaś obu Zgromadzeń stanął w r. 1843., ks. Etienne, który nie tylko rozkładał szeroko ich konary lecz się starał o to, żeby drzewa, sadzone ręką św. Wincentego, przynosiły owoce w najlepszym rodzaju.

Zaledwie objął ks. Etienne rządy Zgromadzenia, zjawił się znowu u furty domu centralnego w Paryżu ks. Kamocki, prosząc o przyjęcie do seminaryum, a nowo obrany Generał przygarnął aspiranta z miłością ojcowską, którą już zawsze dlań zachowa, nazywając go swoim starszym synem. Ks. Kamocki nawzajem ukochał Przełożonego generalnego sercem wdzięcznego syna, czytał jego listy i okólniki z taką czcią, jakby pochodziły od samego św. Wincentego, gromadził je u siebie skrupulatnie, a ks. Etienne, znając tę jego słabość, przesyłał mu zawsze jeden egzemplarz każdego pisma. To też po śmierci ks. Kamockiego zauważono, że w jego bibliotece nie brakowało ani jednego okólnika lub konferencyi ks. Etienne.

Duch Boży, jaki ożywiał ogół Rodziny św. Wincentego pociągnął do siebie także serca przyjaciół ks. Maryana. Zmartwychwstańcy, zawiązując nowe zgromadzenie, mieli zaledwie kilka ogólnych zarysów własnej ustawy, spostrzegli też niebawem, że trzeba dążyć czemprędzej do sformułowania zasad wspólnego pożycia i działania; ale na to trzeba czasu i skupienia, podczas gdy oni natychmiast rozpoczęli pracę na zewnątrz u św. Klaudyusza w Rzymie i u św. Rocha w Paryżu, a nadto zwiedzali t. zw. zakłady emigrantów, rozrzucone po całej Francyi. W Rzymie i w Paryżu stykając się z konfratrami naszego Zgromadzenia, powzięli cześć dla tego ducha, co tryskał z reguł św. Wincentego jak ze swego naturalnego źródła. Ks. Semenenko udał się nawet na Monte Citorio do ks. Cremisini, wizytatora rzymskiego, prosząc, żeby mógł w naszem seminaryum przejść szkołę doskonałości zakonnej i spisać ustawy dla swych braci, obserwując życie, oparte na wypróbowanej regule św. Wincentego. Ks. Cremisini odesłał sprawę do Paryża, a stamtąd nadeszła odpowiedź, jakiej się jedynie było można spodziewać — przecząca. Ks. Etienne nie mógł inaczej postąpić bez naruszenia konstytucyi, podsunął jednak ks. Kajsiewiczowi myśl połączenia się ze Zgromadzeniem Ks. Ks. Misyonarzy. Projekt O. Generała popierał gorąco ks. Kamocki w listach do ks. Jełowickiego, z których przytaczamy najważniejszy z 5. stycznia 1844 r.:

„O. Generał mówił mi, że ks. Hieronim przyniósł mu list od ks. Piotra, w którym tenże, jak to wiedziałeś zapewne, upraszał go o pozwolenie mu wnijścia do nowicyatu w Rzymie dla poznania ducha Zgromadzenia i zaprowadzenia podobnegoż w mającym się utworzyć nowicyacie w Zgromadzeniu jego. O. Generał, jak to łatwo było przewidzieć, żądaniu odmówił, ale zrobił propozycyę, mnie się wydaje przez Boga samego natchnioną mu, aby przyjęli regułę św. Wincentego, dodając to ważne słowo: *Ce ne sont pas les hommes qui font des communautés, ce sontu les saints.* (A św. Wincenty w 33 lat dopiero po zawiązaniu się w towarzystwo dał regułę Zgromadzeniu). Warując nadto O. Generał ks. Hieronimowi wszelką wolność działania byle w duchu reguły i wyłączną służbę dla Polski tak w tułactwie jak w kraju. Pożytki z przyjęcia tej propozycyi widzę tak wielkie, obszerne dla Kościoła i ojczyzny, że mi się zdaje, powtarzam, że tę myśl Bóg natchnął swemu świętobliwemu słudze i wskutku modlitw, jakie codzień za biedną Polskę zanosi, że także w odrzuceniu jej obawiać się będę, aby Bóg nie przestał błogosławić tak święcie rozpoczętym działaniom waszym. O. Generał dodał mi: „Ileż to stowarzyszeń w wieku naszym nie powstało — i gdzież są? — ludzie je tworzyli, ludzie pobożni, ale ludzie — i upadły. Tak obszerne stowarzyszenie Misyonarzy francuskich — dziś z nazwiska tylko znane“ i t. d. Misyonarze irlandzcy, których za przykład cytował O. Generał ks. Hieronimowi, przed parą laty dopiero zawiązani, długo także i to pod tym samym pozorem wyłączniejszej służby swojej ojczyźnie, szukali zawiązać się w jakie towarzystwo, a zupełnie narodowe. Długo myśleli, układali plany, aż nareszcie naczelnik tego stowarzyszenia kapłanów, ks. Dolli, po kilkakroć do infuły powoływany, zdecydował się przyjąć regułę św. Wincentego, z zawarowaniem sobie tylko wyłącznej służby dla Irlandyi. Propozycya przyjętą została i dziś Misya irlandzka, zaledwie lat 3 bytu licząca, staje się cudownem narzędziem w ręku Boga. Bo i o cóż idzie? — porozummy się. Reguła św. Wincentego wszelką obejmuje służbę, którą i wy, kochani

bracia, nieść chcecie Bogu i bliźniemu. Niesie słowo Boże przez misye, przygotowuje do służby Boga przez seminarya, naucza młodzież, dyrygując szkołami. Polska posiada 27 domów misyonarskich, z których dziś dwa tylko t. j. w Warszawie i Krakowie pozostały i, jak wiesz, dogorywają. Gdybyście uznali w propozycyi O. Generała wolę Bożą, cóżto za niewyrachowane dobro sprowadzilibyście do Polski, przybywając w liczbie poważnej i, jak mi O. Generał dodał, z mocą, daną przez niego, zaprowadzenia zmian, reform wedle potrzeby, tem łatwiej uskutecznić się mogących, że zaledwie kilku starych członków Zgromadzenia zastalibyście. Zarząd seminaryów, zarząd szkół, zarząd kilku jeszcze domów Sióstr, tak uczących jak i chorym pomoc niosących... Oh! moi ukochani bracia, nie odrzucajcie łatwo tej myśli... toby nie zmieniło w niczem prac waszych dla ziomków. Tak w Paryżu, jak i w Rzymie, zachowalibyście domy wasze. Niech was Duch święty natchnie i opieka Maryi kieruje wami". My, sądząc dzisiaj *ex post*, zapatrujemy się chłodno na powyższe kombinacye, bo katastrofa z 1863. r. byłaby rozbiła w gruzy najświetniejszą prowincyę; dziwi tylko ten szczegół, że ks. Kamocki wspomina o 27 domach w Królestwie, zapominając, że Zmartwychwstańcy jako uczestnicy powstania listopadowego nie tylko byli skompromitowani wobec rządu rosyjskiego lecz wprost znienawidzeni przez jego ambasadę w Paryżu. Ponieważ zaś rząd pruski 1836. roku zniósł 3 domy w Gnieźnie, Poznaniu i Chełmnie, a poprzednio już Józef II. skasował całą prowincyę galicyjską, więc poza Królestwem został tylko dom na Stradomiu w Krakowie, jedyna twierdza, gdzie zdołali się ks. ks. Misyonarze utrzymać i chyba stamtąd wyłącznie mogliby Zmartwychwstańcy robić wycieczki apostolskie. Opacznie także pojął ks. Semenenko wyrażenie ks. Kamockiego o reformie, wysnuwając wniosek, że O. Generał „przystaje na wszelkie m o d y f i k a c y e i osobne istnienie" — byłoby to przecież rzuceniem kości niezgody w prowincyę polską, stwarzaniem państwa w państwie. To też ks. Kamocki w liście do Jełowickiego z 7. marca 1844 r. wyjaśnia istotną

myśl ks. Etienne: „Zapewne źle się wyraziłem, wspominając o reformach, jakieby dozwolone były dla nowego polskiego Zgromadzenia. Broń mnie Boże od myśli, aby dzieło wielkiego i, jak się wyraził nasz kochany biskup, największego ostatnich wieków świętego reformować. Tę reformę o tyle uważał O. Generał, że Misyonarze polscy przez długie nieznoszenie się z Domem Głównym wiele zaniedbali, a więc powrócić do dawnego, a nie nowe tworzyć lub rozwijać, jak to się dzieje we Francyi, należałoby". Kwestya złączenia się z naszem Zgromadzeniem podzieliła Zmartwychwstańców na dwa stronnictwa; za złączeniem obstawał stanowczo ks. Jełowicki, przyłączył się do niego ks. Terlecki, skłaniał się nawet przyszły generalny przełożony, ks. Hube; do opozycyi należeli ks. Semenenko i ks. Kajsiewicz. Sprawa się tak zaostrzyła, że ks. Semenenko wydalił ze Zgromadzenia ks. Jełowickiego, cofnął jednak zaraz swoje rozporządzenie, poczem wkrótce dla różnych innych powodów ustąpił z godności przełożonego.

Rozchwiały się wprawdzie plany połączenia 2 Zgromadzeń, lecz duch św. Wincentego nie został bez wpływu na dalszy rozwój Zmartwychwstańców: gdy na konwencie generalnym 1847. r. obradowali nad ostateczną redakcyą ustaw, spodobała im się najwięcej reguła św. Wincentego, chociaż sumiennie przestudyowali konstytucye św. Benedykta, Augustyna, Ligourego, Ignacego, Franciszka i Passyonistów; nie przyjęli jej w całości, lecz układali własną pod jej natchnieniem.

Nie urzeczywistniło się marzenie ks. Kamockiego, żeby wspólnie z ks. Jełowickim pracować w jednej rodzinie św. Wincentego, znalazł jednak sam dla siebie szczęście i spokój, choć także dopiero po pewnych próbach. P. Bóg przeprowadził ks. Maryana w seminaryum przez twardą szkołę cierpienia, zasnuwając widnokrąg jego duszy gęstą mgłą, przez którą nie przenikał żaden promień wesela; oko, zapatrzone w sprawiedliwość Bożą, nie widziało przebaczającej prawicy Ojca w niebie. Do tych udręczeń dołączyła się myśl, że wszedł do Zgromadzenia samowolnie przez okno, a nie przez drzwi

powołania. Jeszcze w przeddzień slubów św. wpadł przerażony, z włosami w nieładzie do mieszkania ks. Etienne i począł gorączkowo wytaczać cały szereg rzekomych trudności, nie pozwalających mu na zawsze związać się ze Zgromadzeniem. Ks. Etienne, wysłuchawszy cierpliwie długich wywodów, odpowiedział krótko: „Jutro, kochany Księże, złożysz śluby, a teraz pójdziesz do zwierciadła przypatrzeć się swej



Katechizacya dzieci w misyi Kosrowa.

twarzy". Ks. Kamocki posłuchał, a ujrzawszy swoją rozwichrzoną czuprynę, najpierw się bardzo zawstydził, potem polecił sprawę P. Bogu i pierzchnął wszelki niepokój. Ogień wątpliwości i doświadczenia wypalił z duszy ziemskie naleciałości tak, iż ks. Maryan mógł znowu w dzień ślubów św. zawołać za Apostołem: *Immolor, sed gaudeo.* Przejścia tego rodzaju przygotowały ks. Kamockiego do prowadzenia dusz ręką pewną, bo doświadczoną, nauczyły go wlewać otuchę w serca, smagane niepokojem, łączyć w jednej osobie

sędziego, nauczyciela i lekarza. To też ks. Etienne powierzył mu urząd spowiednika w kilku ważniejszych domach Sióstr Miłosierdzia w Paryżu.

Niemniej od pracy w konfesyonale przygotowała go działalność na polu miłosierdzia do wielkiego zadania, jakie miał spełnić na ziemi poznańskiej. Ks. Kamocki brał żywy udział w akcyi miłosiernej Towarzystwa Dobroczynności Pań Polskich w Paryżu [1]). Zawiązane za inicyatywą ks. Anny Czartoryskiej, rozwijało od roku 1834. nader gorliwą działalność wśród zubożałych emigrantów: pielęgnowano opuszczonych chorych, roztaczano opiekę nad wdowami i sierotami, rozdawano odzież i narzędzia rzemieślnicze, utrzymywano wreszcie dla polskich dzieci dwie szkoły w Nancy i Orleanie. Do roku 1842. wydało Towarzystwo na cele dobroczynne 219.315 fr., zebranych ze składek członków, z darów dobroczynnych, ze sławnych i niesłusznie przez Demokracyę osławianych balów w hotelu Lambert, z loteryi i kwesty. Wenty były głównem źródłem dochodów i dlatego też prezydująca ks. Adamowa Czartoryska przez cały rok nie opuszczała krosien, ażeby je jak najobficiej zaopatrzyć. Ks. Kamocki [2]), będąc przez kilka lat jałmużnikiem w Towarzystwie, przylgnął całem sercem do tej instytucyi i nie odsunął się od niej nawet po wstąpieniu do Zgromadzenia. Zresztą Panie Miłosierdzia, zwłaszcza prezesowa, znosiły się nieraz z naszem Zgromadzeniem, odkąd za ich staraniem przy ulicy Jvry stanął Dom św. Kazimierza, gdzie sieroty polskie miały się wychowywać pod kierunkiem Sióstr Miłosierdzia. Fundacya tego zakładu przypadła na czas, kiedy społeczeństwo francuskie pod wpływem krwawych prześladowań w Królestwie i na Litwie za Mikołaja I., darzyło Polaków niekłamaną sympatyą. Arcybiskup paryski, ks. Affre, wezwał kapłanów swej dyecezyi, ażeby odprawili najmniej jedną Mszę

---

[1]) Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu za rok 1866/67/68. Paryż, artykuły wstępne.

[2]) „Trzeci Maj“ z 1843, str. 596, tożsamo z 3. sierpnia 1844 r.

świętą za uciśnioną Polskę, wierni mieli w tej samej intencyi przystąpić do Komunii św.; ks. Etienne wydał równocześnie podobne polecenie dla księży swego Zgromadzenia, Siostry zaś miały odprawić nowennę za Polskę i na końcu przystąpić do generalnej Komunii św. [1]. Kiedy ks. Czartoryska zwróciła się do ks. Etienne z prośbą o córki św. Wincentego do nowej instytucyi, wyznaczył na to stanowisko zbiegłe przed prześladowaniem Siostry wileńskie, sam 6. stycznia 1846 r. poświęcił zakład w asystencyi ks. ks. Kamockiego i Stankiewicza i w pięknej przemowie porównawszy polską emigracyę do ludu izraelskiego, płaczącego w niewoli nad brzegami rzek babilońskich, życzył jej, żeby ujrzała swe ojczyste wody, uświęcone krwią męczeńską i rycerską w walce za wiarę i Kościół [2]. W Domu św. Kazimierza dało się zrazu pomieścić zaledwie kilka sierót, dopiero z biegiem czasu mieszkało w nim około 60 dziatwy i kilkunastu weteranów. Ks. Kamocki nie patrzał już na stopniowy rozwój zakładu, bo w maju 1848 r. wyjechał do Poznania jako nadzwyczajny komisarz O. Generała, ażeby tam w całej pełni rozwinąć swoją owocną działalność.

Ks. Konstanty Michalski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) „Dziennik Narodowy", Paryż, Nr. z 3. stycznia 1846 r.

[2]) „Dziennik Narodowy" z 10. stycznia 1846 r.

Misye w Królestwie Polskiem.

Od lat kilkunastu podaję na tem miejscu najrozmaitsze wiadomości o naszych pracach apostolskich. Czytelnicy nasi mogli się wiele dowiedzieć o misyach, dawanych przez nas w Galicyi i na Śląsku tak pruskim jak i austryackim, w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich; pojawiały się w „Rocznikach“ od czasu do czasu nawet z Ameryki Północnej i Południowej sprawozdania z prac naszych polskich Misyonarzy. Obecnie mam szczęście napisać kilka słów o misyach w samem sercu Polski — w Królestwie.

Od 40 lat była ta ziemia zupełnie dla nas zamknięta, jakby chińskim murem otoczona; konfratrom nawet, kiedy jeszcze w Warszawie i po innych domach spokojnie P. Boga chwalili, nie wolno było tam misyi dawać. Dopiero w ubiegłym roku 1905. jakaś jutrzenka pomyślniejszej przyszłości w tej dzielnicy ojczyzny naszej zaświtała.

Po ogłoszeniu manifestu carskiego z 30. października 1905. r. jedni na seryo cieszyli się nadzieją wolności i konstytucyjnych stosunków, inni coś niedowierzali. Najśmielsi ze wszystkich, synowie św. Alfonsa Ligourego, najpierw wyruszyli na misye w te strony, dotąd przed światem jakby deskami zabite. Przyznam się, że kiedy z poza kordonu przyszło zaproszenie, by jeden z ks. ks. Misyonarzy zjechał do proboszcza w okolicy Bochni, pojechałem i ja w IV. niedzielę adwentu na zwiady, — wróciłem z niczem. W kilka miesięcy po tym wypadku zgłosili się do nas sami N. N. ks. ks. biskupi kieleckiej i włocławskiej dyecezyi, żebyśmy dali misye w parafiach, rozagitowanych bądź przez nieszczęsnych mankietników, bądź przez socyalistów.

W pierwszej chwili zdawało nam się wszystkim, że to sprawa za górami i za lasami. Przerwaliśmy jednak zamó-

wione prace w krakowskiej dyecezyi i w sąsiedztwie i czekamy wezwania. Kończymy w początku czerwca misyę w Męcinie, a tu dochodzą nas wieści, że już formalności załatwione i kilka parafii w Królestwie na misye czeka.

Zebraliśmy siły, jak się dało, i dnia 16. czerwca ruszyła pierwsza w te strony wyprawa. Czcigodny nasz ks. wizytator Słomiński, a zarazem dyrektor S. S. Miłosierdzia w Galicyi, osobnymi okólnikami wezwał obydwie św. Wincentego Rodziny do modłów na intencyę tej wyprawy naszej.

Popołudniowym kuryerem ruszyli 16. czerwca ks. ks. Rossmann, Krzyszkowski, Szymbor i niżej podpisany do Oświęcimia, następnie do Katowic, a stąd do Sosnowca i Bendzina. B e n d z i n był pierwszą naszą na razie placówką.

B e n d z i n. Powiadają, że każdy początek trudny, o temeśmy się tu najlepiej przekonali. Jedziemy pomarnowani, bo każdy od jakiejś pracy oderwany, a tu nie wiedzieć, co i jak będzie? Na komorze boimy się moskali, po raz pierwszy w życiu ich widząc, ale jakoś grzecznie uniósł nas pociąg i zawiózł do Bendzina. Burza okropna zerwała się nad nami, kiedyśmy do samego miasta wjeżdżali: nie wiedzieć, czy to był jakiś prognostyk, czy tylko zwykły aeorologiczny manewr. Już dobrze się ściemniło, kiedyśmy stanęli na plebanii i powitali się z proboszczem Wiel. ks. Kubickim, dziekanem i prałatem. Wieczór zeszedł na tem i owem, a najwięcej mu chodziło o to, by porządek tutejszej misyi ułożyć i o dalszej marszrucie naszej co nieco się dowiedzieć. Otrzymaliśmy wszystkie reskrypty konsystorskie, władze najrozmaitsze, a co do pracy w Bendzinie stanęło po długich debatach na tem, że tu tylko 4 dni będziemy mogli zabawić.

Nazajutrz w niedzielę na sumie rozpoczęła się misya. Po zwykłych ceremoniach w kościele przemówił ks. Krzyszkowski, ludu było tyle, że równocześnie na cmentarzu musiał drugi z kazaniem wystąpić ks. Szymbor. I tak odtąd po dwa kazania równocześnie mawialiśmy w miarę napływu słuchaczy, ażeśmy końca dobili. Przez cały czas konfesyonały od rana do wieczora i to póżnego w oblężeniu. Na 16.000

dusz, jak Bendzin liczy, wyspowiadaliśmy tylko 5 do 6 tysięcy. Dzięki Bogu i zato! W oktawę Bożego Ciała 21. czerwca wypadło nam misyę zamknąć. Rano odbyła się generalna Komunia św. z przemową i procesyą, co tu naród bardzo lubi, ponieważ jednak żydzi czy socyaliści chcieli przy procesyi Bożego Ciała zrobić awanturę, nie poszliśmy z procesyą na rynek, tylko odbyło się zwykłe poświęcenie krzyża, i na tem zamknęliśmy pracę w Bendzinie.

Koziegłowy. Ks. Krzyszkowski wrócił do swej parafii w Odporyszowie, my zaś w trójkę pojechaliśmy w piątek 22. czerwca koleją do Myszkowic, a potem furką do Koziegłów. Parafia ta zasłynęła jako gniazdo mankietników. Zaczęliśmy pracę na nieszporach dosyć późnym wieczorem. Proboszcz nowy, ks. Jan Zmarzlik, przy powitaniu nas zauważył, że ciężka i ryzykowna nas tu czeka praca, bo sekta głęboko zapuściła korzenie. Nie od rzeczy będzie powiedzieć cośkolwiek o genezie i smutnej historyi odszczepieńców. Niektórzy z księży świeckich czując pociąg do wyższej doskonałości, starali się dla siebie o ściślej określoną normę życia. Ułożono dla nich istotnie ustawę na wzór stowarzyszenia księży francuskich, zmodyfikowaną przez J. E. ks. Sotkiewicza i potwierdzoną przez J. E. kardynała Dunajewskiego. Sprawa szła po myśli, dokąd nią kierował O. Honorat, kapucyn, ale nabrała cechy zwyrodnienia, gdy po rozszerzeniu programu na masy ludu, Felicya Kozłowska zaczęła się gorliwszym księżom naprzykrzać swemi objawieniami: roztropniejsi wycofali się od razu, inni upatrywali w niej drugą św. Teresę. W Płocku odbywały się zebrania zbałamuconych księży pod przewodnictwem natchnionej Kozłowskiej, dopóki jej ks. biskup Szembek nie zmusił do wyjazdu. Centrum całego ruchu stał się wtenczas Lublin, stamtąd szerzono fanatyczną propagandę wśród ludu przez przesadzony i wykrzywiony kult Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i Adoracyę Najświętszego Sakramentu. Wybornym środkiem agitacyjnym były medale z odnośnymi symbolami i obrazami. Skoro się tylko rozpowszechniły między ludem, zaczęto na nich wyobrażenie

N. Maryi Panny przerabiać i zastępować nieznacznie rysami onej mateczki Kozłowskiej. Ks. Kowalski, głowa ks. ks. mankietników, kazał wreszcie odlewać medaliki z monstrancyą, na podstawie której umieszczony jest niby anioł (właściwie Kozłowska) z niewyraźnemi skrzydłami, podtrzymujący rękami osadę hostyi. Nowość nabożeństwa, działając na wyobraźnię ludu, jednała dla sekty całe parafie. I nam przypadła praca misyjna w jednem z takich ognisk sekty — w Koziegłowach· Stan tej parafii i naszą działalność scharakteryzował miejscowy proboszcz, ks. Zmarzlik, w „Słowie“ warszawskiem z dnia 22. lipca b. r. Artykuł ten najlepiej zapozna czytelników z trudnościami, z jakiemiśmy się spotkali w naszej pracy.

„Czytać w gazetach o mankietnikach, a mieszkać z nimi razem i stykać się z nimi codzień — to ogromna różnica. Dyecezya kielecka, na szczęście w jednej tylko parafii, w Koziegłowach, dekanatu będzińskiego, ma tych sekciarzy w liczbie około 500 dusz wraz z malutkiemi dziećmi, pod wodzą dwóch b. katolickich księży: jeden, dawny, dziewięcioletni wikaryusz tej parafii nazwiskiem Skrzypiciel, drugi Szokalski, uciekinier z dyecezyi sandomierskiej.

Długo i władza duchowna dyecezyi sandomierskiej i własny ojciec tego ostatniego, zamieszkały w Radomiu, nie wiedzieli, kędy się podział dzielny wyznawca Kozłowskiej. Dopiero w ubiegłe Zielone Świątki przybył do Koziegłów stroskany ojciec, aby zabrać do domu zbłąkanego syna i tam leczyć chorą jego duszę — ale się srodze zawiódł. Ten, który nie usłuchał Kościoła, nie usłuchał też ojca. Po dwakroć mówił ojciec do syna: „Synu, pójdź do mnie, do twojego ojca! Ja cię wychowałem, ja będę leczył twoją chorą duszę, pójdź do mnie, nie rób mi wstydu, nie zatruwaj goryczą resztek dni mojego życia!“ Po dwakroć syn heretyk, prawdziwie po heretycku odpowiedział ojcu: „Ja ojca nie znam i znać nie chcę!“

Przerażony taką odpowiedzią syna, ze łzami w oczach z niczem wrócił do domu zbolały ojciec.

Zwyczajnie — jedna zbrodnia pociąga za sobą drugą zbrodnię. Kto się zaparł matki Kościoła, ten się też zaparł ojca swego ziemskiego.

Ci dwaj mankietnicy działają zgodnie ze swoimi kolegami z Sobótki, Leszna i t. d. Występują wrogo przeciw Kościołowi katolickiemu, odrzucają to, w co przedtem wierzyli, depcą nogami to, co do niedawna uważali za święte.

Mankietników żadną miarą nie można nazywać tem ogólnem imieniem: „chrześcijanie“. Nie! — im przysługuje nazwa: „bałwochwalcy“ („babiści“, jak ich nazwała jedna z gazet), bo oni wierzą tylko w Kozłowską, do niej odmawiają i śpiewają litanię, godzinki, jej imię z największą czcią wymawiają. Gdyby takie wierzenie szerzył pojedyńczy człowiek, tobyśmy go nazwali waryatem. Jakimże to sposobem się stało, że rozum, ten najprzedniejszy dar Boży, w głowach mankietników został tak bardzo sponiewierany?

Różni rożne mogą mieć zdania o tej sprawie; ale ja, patrząc codzień na tych, którzy jeszcze przed rokiem, bądź co bądź, byli dobrymi księżmi, śmiało wypowiadam zdanie, że oni działają pod wpływem hypnozy. Wszak wpływ hypnotyzera na uśpionego jest ogromny. Wiadomem jest też, że wytrawny hypnotyzer, bez uśpienia, samem wmówieniem potrafi za sobą pociągnąć całe masy ludzi.

Panowie doktorzy psychiatrowie powinni się zająć tą kwestyą i naukowo ją wyświetlić.

Cieszyliśmy się, że po ogłoszonym wyroku w Warszawie na niekorzyść Kozłowskiej ruch mankietniczy upadnie. Zaledwie w maleńkiej cząsteczce ziściły się nadzieje — ogół sekciarski pozostał ten sam.

W parafii Koziegłowskiej prowodyrzy mankietników surowo zabronili swoim zwolennikom czytania gazet. Żaden mankietnik nie weźmie do ręki gazety, ani będzie czytał jakiej broszury.

Po ogłoszonym, wyżej wspomnianym wyroku na niekorzyść Kozłowskiej, pojechałem do wsi Gniazdowa, gdzie u chłopa w chałupie mieszkają księża mankietnicy i gdzie

najwięcej, bo aż 400, jest sekciarzy, z zamiarem, aby zbłąkanym przedstawić, w kogo to oni wierzą. Zaledwie mówić zacząłem, a tu jedni uszy sobie zatykali, aby nie słyszeć, a drudzy mi pięściami grozili, aby mnie odstraszyć; a gdym jednej mankietnicy dał gazetę z radą, aby i sama przeczytała i swoim nauczycielom do przeczytania dała, ta skoro tylko wzięła do ręki gazetę, natychmiast ją na drobne kawałeczki potargała i nogami podeptała.

I jak tu trafić do tych ciemnych głów? Gazet ani broszur nie czytają, do kościoła na nauki katolickich kapłanów nie chodzą i nikomu — jeno swoim przewrotnym nauczycielom wierzą.

A ci nauczyciele, czyli upadli księża w najbezczelniejszy sposób oszukują swoich ogłupiałych uczniów i najnieprawdopodobniejsze rzeczy w nich wmawiają — i oni im wierzą!

Jak wyżej nadmieniłem, główny prowodyr mankietników w parafii koziegłowskiej, Skrzypiciel, przez 9 lat był wikaryuszem tejże parafii.

Swoją rzekomą gorliwością, medalikami, kółkami, kółeczkami tak otumanił i za sobą pociągnął niewykształconą religijnie ludność parafii, że z wyjątkiem kilku inteligentnych rodzin, cała 8.000 przeszło parafia była na razie oderwana od Kościoła.

Najdostojniejszy Pasterz dyecezyi, ratując tę czastkę swojej owczarni od zarazy, w miesiącu marcu posłał kilku swoich kapłanów na misye do Koziegłów. (Ks. Kubicki, dziekan z Bendzina, ks. Augustyniak, proboszcz z Dąbrowy Górniczej, ks. ks. Bożek, Białecki, Tomasik — prefekci, dwaj pierwsi z Sosnowca, ostani z Będzina, ks. Czerna, proboszcz z Książa Małego). Ci kapłani bardzo dużo zrobili dla parafii koziegłowskiej. Oni swojemi naukami jakoby z letargu obudzili parafię. Mądrzejsi przejrzeli i od złośliwego mankietnictwa odstąpili. Przy Skrzypicielu zostało zaledwie 500 dusz, wliczając w to maleńkie dzieci.

W ostatnich dniach czerwca Najdostojniejszy Pasterz dyecezyi powtórnie przysłał do Koziegłów mężów apostol-

skich, ale tym razem kapłanów z zakonu Misyonarzy z Krakowa (ks. ks. Sokołowicz, Rossman i Szymbor). Przez pięć dni pracowali z całą żarliwością nad nawróceniem zbłąkanych. Szereg pięknych i do okoliczności zastosowanych kazań wygłosili.

I gdy wszyscy katolicy odnieśli wielkie korzyści z pracy mężów Bożych, to ci zaślepieńcy z malutkimi wyjątkami i nadal pozostali w ciemnościach. Skrzypiciel wmówił w nich, że to nie są Misyonarze, jeno przebrani za zakonników socyaliści i zabronił im pokazywać się w kościele parafialnym w czasie misyi. I ciemny lud mu uwierzył! Lud obałamucony, jakkolwiek wierzy swoim nauczycielom, że Kozłowska jest najświętszą z pomiędzy wszystkich świętych i do niej się modli, to przecież nie chce się oderwać od Kościoła, od Ojca świętego.

Przewrotni prowodyrzy utwierdzają ich w tej mniemanej łączności z Głową Kościoła, wmawiając w nich, że oni tylko od biskupów się oderwali, ale Ojca św. miłują i słuchają i Ojciec św. jest z nimi, a nawet płacze, widząc, jak ich biskupi i źli księża prześladują i że z rozkazu Ojca św. jedzie z Rzymu pięciu kardynałów, którzy ich w tryumfie wprowadzą do kościoła.

To znów przygotowując ich tępe umysły do zupełnego zerwania z Kościołem, mówią, że od tygodnia Rzym się pali, że Ojciec św. z Rzymu już uciekł, że już niema Papieża.

Mankietnicy w Matkę Boską nie wierzą. Do tego zdążają, aby kult Najświętszej Maryi Panny znieść, a na to miejsce zaprowadzić kult Kozłowskiej.

Wobec tak skrzętnego przez mankietników rozszerzania medalików z podobizną Matki Boskiej Nieustającej Pomocy może się komu wydawać to moje twierdzenie za ryzykowne. Jednak — tak jest.

Pierwszym dowodem tego jest litania do Kozłowskiej, jaką na swoich nabożeństwach odmawiają; drugim — odpowiedzi, dawane obałamuconym przez prowodyrów, ażali mogą pójść na odpust do Częstochowy. Na Jasną Górę nie wolno

chodzić — odpowiadają pytającym, bo tam już niema Matki Boskiej; pielgrzymujcie do Płocka, tam jest najświętsza dziewica Marya Feliksa Kozłowska. Wreszcie trzecim, bardzo ważnym dowodem mojego twierdzenia jest, że obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy jest ukoronowany, zaś wizerunek Matki Boskiej na medalikach mankietniczych, w późniejszych zwłaszcza edycyach, jest bez korony, aby łatwiej (można) było powiedzieć: „Oto Kozłowska“.

Dla tych powodów i że na wielu medalikach na odwrotnej stronie jest umieszczona Kozłowska, podtrzymująca monstrancyę, i że te medaliki są jakoby paszportem sekciarzy — po nich poznają oni swoich — skoro tylko objąłem zarząd nad parafią koziegłowską, kazałem wszystkim moim parafianom te medaliki wraz z jakiemiś szmatkami koloru habitu Kozłowskiej i księży mankietników poznosić do zakrystyi i to wszystko ks. ks. Misyonarze kazali zakopać na cmentarzu pod krzyżem misyjnym, i tym sposobem zerwana została wszelka łączność z sekciarzami.

Takimi to i t. p. banialukami karmią zwolenników swoich niedorzecznych wierzeń, a lud ciemny i uparty nie jest w stanie odróżnić prawdy od fałszu.

Dużo o tem pisali w gazetach, że główną przyczyną ruchu mankietniczego są akcydensa, t. j. opłaty od pogrzebów, chrztów i t. p., jakie pobieramy od interesowanych. Mojem zdaniem te opłaty wcale nie wpływają na odstępstwo od wiary. A mało to kosztuje utrzymanie w koziegłowskiej parafii tych dwóch mankietników? Oprócz pieniężnych składek, opłat — mleko, masło, jajka z domów sekciarzy idzie na wyżywienie tych uczycieli.

Ludowi naszemu, okrutnie ciemnemu, podobają się nowinki, podoba im się święta Kozłowska, jak małej dziewczynce podoba się ładnie wystrojona lalka; podoba im się, że księża z nimi na wsi mieszkają, razem z nimi śpią i z jednej miski z nimi jedzą.

Nasi mankietnicy w Gniazdowie mieli przez dłuższy czas na usługach swoich kozaków. Tych kozaków Skrzypiciel

i jego wyznawcy codzień gorzałą upajali i puszczali na wybitnych lub nawróconych z sekciarstwa katolików tej wsi. Każdy wie, do czego jest zdolny upojony kozak!

Mieszkał w tej wsi niejaki Huras, do niedawna sekciarz, a obecnie nawrócony katolik, który swojemi roztropnemi przemówieniami wielu zbłąkanych nawrócił. Ów Huras był solą w oku dla Skrzypiciela i jego przyjaciół. Po staremu kozaków upoili i na bezbronnego puścili. Pijani żołnierze okrutnie go zbili, aż siedm cięć pałaszem w głowę dali i na pół umarłego do Zawiercia w nocy zawieźli i do więzienia wpakowali.

Kozacy broniąc się, twierdzą, że on miał rewolwer i strzelał do nich. Ludzie powiadają, że to nieprawda, że sami kozacy czy mankietnicy włożyli mu rewolwer do kieszeni. Wszyscy proszą o śledztwo, a władza powiatowa trzyma pobitego pod kluczem, a śledztwa prowadzić nie chce.

Kozaków z Gniazdowa zabrali. Domagamy się, aby byli ukarani za czyny gwałtu, spełnione na bezbronnym.

Wszystkie możliwe plagi, jakiemi Wszechmogący Bóg karze grzeszną ludzkość, są niczem w porównaniu do plagi mankietniczej.

Biada tej parafii, która tą plagą się zaraziła!

Ojciec i syn są katolikami, matka i córka mankietnicami — w tym domu w dzień i w nocy wojna; brat nienawidzi brata, siostra siostrę, dzieci rodziców, słowem — obraz nędzy i rozpaczy.

Taką jest parafia koziegłowska".

Na misyę chodziło mankietników jednak dosyć i porzucali swe błędy. Najzaciętsi nie przyszli. Dwóch ks. ks. proboszczów udało się do nich prawie w tę niedzielę, kiedy się czyta ewangelia o pasterzu, co zbłąkanej owieczki szukał — pojechali do wioski Gniazdowa, perswadowali obłąkanym jak mogli. Skutek był taki, że chłopi i kozacy rozpędzili zbiegające się koło nich tłumy a następnie niewiele brakło, żeby się i samym księżom cięgi dostały.

Pracę rozdzieliliśmy tu na dwie serye, a cała misyą trwała w Koziegłowach dni 5, t. j. od 22. do 27. czerwca. Spowiedników było bardzo mało, musieliśmy sami ciągnąć dobrze razem z miejcowymi księżmi. Wyspowiadało się ogółem około 3000 osób. Dnia 27. czerwca ukończyliśmy misyę postawieniem krzyża, a po południu tegoż dnia, żegnani wspaniale przez procesyę, która nas aż za miasteczko odprowadziła, pojechaliśmy furką do Częstochowy, gdzieśmy następnego dnia t. j. 28. czerwca mieli szczęście wszyscy trzej Msze św. przed ołtarzem N. Panny Królowej Korony Polskiej, odprawić i świętości tutejsze zwiedzić.

Zawiercie. Południową porą wyjechaliśmy d. 28. czerwca z klasztoru jasnogórskiego, by z dworca częstochowskiego wsiadłszy na pociąg dostać się nim około godz. 4. na miejsce nowej misyi — do Zawiercia. Tymczasem pociąg nas odbiegł; trzeba było na inny aż pod wieczór czekać. Wiele na tem zależało, żeby się misya zaczęła na pierwszych nieszporach patronalnego święta śś. App. Piotra i Pawła, bo lud przygotowany mógłby już nazajutrz tłumnie do spowiedzi przystąpić, gdyż księża z okazyi odpustu w większej liczbie się zjeżdżają. Ludzie, czekając na nas od kilku godzin, już się zaczęli i rozchodzić. Nimeśmy dostali się do rezydencyi, księża obecni odprawili solenne nieszpory, a myśmy się doczepili do nich ze swojemi ceremoniami. Było nas tu z początku i prawie przez całą misyę 3, t. j. ks. ks. Rossmann, Szymbor i ja; pod koniec nadjechali ks. Steinsdorfer z Tarnowa i ks. Mazurkiewicz aż z Kaczyki, natomiast ks. Rossmann w ostatnim dniu misyi tutejszej wyjechał do Warszawy. Pracę rozłożyliśmy na 2 serye; ściśle jednak granic utrzymać się nie dało, na nauki chodził, kto mógł, a spowiedzi słuchało się w 1-szej seryi przeważnie mężczyzn, w 2-giej kobiety i mężczyzn, którym się poprzednio nie dostało. Ładnie świadczy o parafianach tutejszych sam wspaniały kościół parafialny ich ofiarnością wzniesiony. Należeli od dawnych czasów do Kromołowa. Z wielką trudnością uzyskawszy pozwolenie na utworzenie osobnej parafii, zebrali na poczekaniu

potrzebne fundusze. Gdy jednak mimo tego trudności były, wypadło jednego dnia coś ze 6 tysięcy robotników z fabryk i tego samego wieczora wybrali fundamenta pod ogromny kościół, jaki dziś stoi. Na zewnątrz gmach wspaniały i artystyczny; wewnętrzny rozkład nie jedno do życzenia zostawia, bo w całej budowie księży o zdanie się nie zapytano, stąd wiele niepraktyczności. Nauki mawialiśmy: jednę około południa a po nieszporach o godz. 6. dwie jedną po drugiej. Na te ostatnie gromadziły się całe masy robotników z fabryki. A ponieważ już na poprzedniej seryi wysłuchali *de poenitentia et novissimis*, w tej seryi wieczorami mówiliśmy same nauki moralne. Księży do spowiadania było dostatecznie, jednak nie tylu, żeby się dało całą parafię wysłuchać. Ks. Ludwik Gawroński, kanonik katedralny kielecki, rodak tutejszy, całemi godzinami przesiadywał w konfesyonale. Ks. prałat Barcz, proboszcz z Kromołowa, również raniutko szedł do konfesyonału, a najpóźniej z niego wychodził. Było nas nieraz do 15 i więcej. Wyspowiadało się ogółem przeszło 10.000 dusz. Dnia 6. lipca przy krzyżu przemówił ks. Szymbor, potem ks. kanonik Gawroński, a na końcu ks. proboszcz Zientara. I tu się trafiło nieco oznak mankietniczych, lubo zwolenników tej sekty tu niema. W Koziegłowach jakie dobre pół korca tych orderów zakopaliśmy pod krzyż misyjny; tu i na następnych misyach, co ludzie oddali, zakopaliśmy również pod krzyż.

Sosnowiec. Ks. Rossmann wyjechał z Zawiercia do Warszawy a my czterej popołudniowym pociągiem dnia 7. lipca ruszyliśmy do Sosnowca. W pociągu spotkaliśmy się z wikaryuszem ks. Broszkiewiczem, w drodze przysiadł się do nas ks. prałat Kubicki z Bendzina, a w samym Sosnowcu czekał ks. proboszcz Milbert z parafianami, żeby nas solennie do kościoła wprowadzić. Mankietników nie tylko tu niema, ale ich nie cierpią; zato jest spora paczka socyalistów. Ci, chcąc lud od nas odciągnąć zapowiadali, że nie Misyonarze, ale mankietnicy przyjadą. Ta wstępna parada i okazałość, z jaką nas przyjęto, zachwiała wrażenia ich bajkami tu i ówdzie

wywołane. Chodzili wszyscy wiernie i licznie t. j, tacy, którzy jeszcze w Boga wierzą. Pracę rozłożyliśmy w ten sposób, żeby jak najwięcej robotnicy mogli korzystać z nauk i spowiedzi. Mężczyzn wzięliśmy naprzód, kobiety w 2-ej seryi, a i tak kiedy się który z mężczyzn trafił, spowiadało go się bez trudności. W gruncie lud nie zły, ale zaniedbany, niepouczony, a jeszcze więcej bałamucony. Pisemka socyalistyczne, odezwy podburzające latają jak ćmy z rąk do rąk, na zebraniach wymyślają socyały na panów, na księży a nawet wprost na P. Boga bluźnią. O nas mówili, że „czarna sotnia" zjechała. Gdy wierne dzieci Kościoła garnęły się całemi masami, zapuszczali się za niemi i tacy z partyi. Z początku szli jak na dysputy: podsłuchać kazań, wyśmiać się pokątnie. Wzruszyło jednak i z nich niejednego słowo Boże; przyszedł potem wyspowiadał się szczerze i już inny człowiek: socyałów się zarzekł sam, a gdzie mógł jeszcze innych odwodził od przewrotnej partyi, a do spowiedzi naganiał. Wielu tu było takich zelatorów. Spowiedzi szły ciężko, spowiedników niby dosyć dużo, ale na takie masy stanowczo za mało. Na 16 czy 18 tysięcy dusz, które liczy parafia sosnowska, wyspowiadało się ledwie 4 czy 5 tysięcy w tym czasie.

Pogoń. Jest to filia do Sosnowca. W dzielelę 15. lipca zakończywszy na sumie misyę w Sosnowcu, przybyliśmy na tę ostatnią misyę tegoż dnia po południu. W drodze zastąpiła nam procesya pogońska z muzyką i swoim proboszczem L. Froehlichem na czele. Wprowadzili nas do prowizorycznego kościoła, w którym chwalą P. Boga, bo nowy wspaniały kościół buduje się obok. Od razu wyszły nieszpory i zaczęliśmy pracę. Do nas 4 przybył jeszcze ks. Król Stefan z Warszawy. Rozkład misyi i porządek nauk zachowaliśmy ten sam co i w Sosnowcu. Codzień suma wychodziła o godzinie 11., a gdy się skończyła, prawie wypuszczano robotników z fabryk na posiłek południowy. W tym też czasie już kaznodzieja na ambonie czekał i po drodze do domu idąc mogli posłyszeć krótką naukę. Krócej się te nauki mówiło, żeby mogli się posilić, a potem na czas do pracy stanąć.

Wieczorem znowu o godzinie 6. nieszpory, po nich 2 nauki dostateczniejsze. Resztę czasu wolnego poświęcało się słuchaniu spowiedzi, za dnia tych, co nie chodzą do fabryki, wieczorem braliśmy wyłącznie fabrykantów. Mieli tu socyaliści obyczaj, że idąc do roboty zwłaszcza w poniedziałki, stawali na klockach, czy pniakach przy drodze i przemawiali. W poniedziałek, kiedy się już misya zaczęła (16. lipca), jeden taki podpity socyał, zaczął coś z klocka wygadywać na księży, potem i na misye. Zepchnęli go; poszedł pod kościół i pokazując rewolwer groził, że nim Misyonarzy wystrzela Znaleźli się poczciwi wiarusy, którzy mu rewolwer z rąk wyrwali, a potem odwlókłszy go za domy, nieco podobno i poturbowali, żeby religii nie znieważał. W niedzielę 22. lipca zakończyliśmy tu misyę wieczorem — nazajutrz wspaniale żegnani, rozjechaliśmy się ze Sosnowca ja i ks. Szymbor do Krakowa, a 3 inni konfratrzy pojechali do Częstochowy.

Tak się to pisze o misyach w Polsce — jak o naszych, bo praca taka swobodna, jak wśród naszego ludu. Jak się to stosunki zmieniły! Niedawno całe Królestwo zamknięte jak Holofernesa obóz, a teraz Misyonarze jak Judyty wjeżdżają, gdzie im się podoba.

Pięć misyi daliśmy jedną po drugiej bez żadnego szwanku i wypadku. Siły nasze chyba tylko zaczęły się targać, słabnąć od ustawicznego natężenia; zresztą jak najspokojniej odbyło się wszystko. Dzięki za to Bogu niech będą, że nas tak wyraźnie opieką swoją otaczał. Dzięki też na tem miejscu niech mi będzie wolno od siebie i kochanych współbraci moich towarzyszów prac i wycieczek złożyć czcigodnym konfratrom i drogim Siostrom za modlitwy, które za nami do Boga zasyłali. Kiedyśmy wojowali na polach bitwy z wrogiem zbawienia, wyście, kochani konfratrzy i drogie Siostry, wznosili ku Bogu ręce, jak kiedyś Mojżesz na górze — Bóg zapłać wam za to! Jutro znowu dalszy ciąg tychże prac podejmujemy — wspierajcie nas nadal swemi modłami.

Ks. Józef Sokołowicz
n. k. Z. misyi.

Sprawozdanie z misyj odprawionych w r. 1904 w Galicyi Wschodniej.

(Ciąg dalszy).

Chocimierz. Kilka razy zwracał się proboszcz z Chocimierza, ks. Antoni Gorawski, do nas z prośbą, żebyśmy w jego parafii odprawili misyę. Udaliśmy się tam w trójkę: ja, ks. Domaradzki i ks. Brukwicki, dnia 29. sierpnia 1904. koleją aż do Tłumacza, a potem drogą kołową na miejsce 3 mile. Po drodze, pełnej przygód ciekawych, dostaliśmy się na miejsce przeznaczenia. Parafia Chocimierz, licząca 2837 dusz, rozrzucona jak wszystkie łacińskie parafie na wschodzie po 9 wsiach. Miasteczko biedne, brudne, pełne żydostwa. Kościół biedny, dość obdarty, ale ludek tu nie zły. Przed laty 7 odprawili tu misye nasi konfratrzy. Ponieważ trudno byłoby parafianom z dalekich wiosek brać udział w misyach parafialnych, postanowiliśmy urządzić misye w trzech miejscowościach parafii, mianowicie: w samym Chocimierzu, w Bohorodyczynie (11 klm.) i w Żywaczowie (10 klm.). W Chocimierzu było ludzi dosyć, wyspowiadali się wszyscy i przysięgli od wódki. W niedzielę po południu 31. sierpnia pojechaliśmy do Bohorodyczyna, ale dla złej drogi ledwie mogliśmy dojechać, deszcz nielitościwie lał, niepodobni do ludzi stanęliśmy na miejscu. Kościółek piękny, a w nim jak w pudełeczku ład jak rzadko. Misya trwała 3 dni. Mieszkaliśmy w chacie chłopskiej u jakiegoś ormianina Krzysztofowicza. Misya świetnie się tu powiodła. Ludek po kolana brnął w błocie, ale dopisał, wyspowiadało się około 800 dusz, postawiwszy krzyż, ruszyliśmy 4. września na drugi koniec parafii Chocimierskiej do Żywaczowa. Jest tu kaplica dosyć obszerna, jasna, murowana, naród trochę dziki, nie bardzo

chętny do kościoła i gdyby proboszcz Chocimierski nie przyjeżdżał tu co trzecią niedzielę z nabożeństwem, pewnieby mieszkańcy tego sioła nigdy parafialnego kościoła nie odwiedzili. Cała wioska wyczekiwała tu misyi jak zbawienia. Zelektryzował zaś wszystkich wójt, który od 35 lat trzyma ster w tej wiosce. Wystąwiono bramę, naprawiono drogę koło kościoła, umajono kościół, zrobiono rodzaj trotoaru z kościoła do Czytelni polskiej, abyśmy suchą nogą przeszli przez drogę.

Zaskoczyła nas tu mała bieda. Ks. Brukwicki zachorował poważnie, musiano go odstawić do domu. Praca była dość wielka, a tu pomocy nie mogliśmy się znikąd doprosić, musieliśmy z ks. Domaradzkim podwójny znosić ciężar dnia i upalenia. Ciekawa to historya. Przed 7 laty mieli tu misye w Chocimierzu nasi konfratrzy i również jeden t. j. ks. Rossmann zachorował na tyfus, po latach 7 znowu na misyi pokonała choroba szermierza apostolskiego.

Wyspowiadaliśmy z pomocą ks. Michała Wójcika, bernardyna, około 350 ludzi, poświęciliśmy krzyż i przyjęliśmy do bractwa św. trzeźwości kogo się dało. Mieszkaliśmy we dworze u ormianina, p. Antoniewicza, bardzo zacnego obywatela, u którego znaleźliśmy się zupełnie jak w domu. Naczelnik Żywaczowski wyznaczał podwody każdy dzień, abyśmy ze dworu nie szli pieszo do kościoła. Szóstego września wyjechaliśmy z Żywaczowa do Koropca, aby tam rozpocząć 8. września pracę misyjną. Smutni jechaliśmy z ks. Domaradzkim z Chocimierza do Tłumacza, bo nam brakowało tego, który nas humorem swoim nieraz wśród drogi rozweselał i bawił.

Koropiec. Koropiec czyli Kropiec jest starą bardzo parafią, sięgającą czasów króla Władysława Jagiełły, jak to widać z dokumentów przechowanych w archiwum parafialnem. Kościół dzisiejszy wspaniały, na cześć św. Mikołaja Biskupa zbudowany staraniem miejscowego parocha ks. Marcina Mierzwińskiego i rodziny Mysłowskich, do których Koropiec do niedawna należał. Dziś należy Koropiec do p. Stanisława Henryka hr. Badeniego.

Zaczęliśmy misye tak, aby je skończyć na odpust Podwyższenia Krzyża św., w którym to dniu tysiączne tłumy do Koropca się zbiegają. Podzieliliśmy parafian Koropieckich na dwa stany. Przed 7 laty więcej misya zainteresowała wszystkich aniżeli obecna. Praca nie była wcale forsowna. Wyspowiadali się wszyscy. Dzień 14. września był dniem prawdziwego tryumfu Krzyża św. i pożegnaniem solennem Ks. Ks. Misyonarzy. Pomagali nam chętnie księża okoliczni, zaproszeni przez gorliwego nader ks. Zygmunta Scherffa, administratora parafii. Ks. Dr. Władysław Jachimowski, jubilat, urodzony 1826 r., dla starości parafią już zarządzać nie może.

Djabeł coś bardzo się uwziął na naszą robotę, bo nie tylko ks. Brukwicki zachorował, ale oto ks. Truszkowski, przybywający na jego miejsce, w drodze doznał również nieszczęścia: koło powozu, którym jechał, złamało się i per pedes apostolorum przybył ledwie żywy do nas, aby nam pomagać. Pracował jednak z gorliwością iście apostolską, pracował tu w miejsce chorego swego konfratra, a echo jego silnego głosu rozlatywało się z wyżyn kościelnego dziedzinca po całej uroczej okolicy, zanikając zwolna w sinych wodach poważnego Dniestru, który krętą wstęgą Koropiec opasał.

Puźniki. Jest to expozytura nie systemizowana, licząca koło 1000 dusz samej szlachty zagonkowej. Lud ten inteligentny, dość ubogi, ale z naturą mazurską, do kościoła lubi chodzić, choć poza kościołem broi i dokazuje. Kościółek tu nieduży, drewniany, z presbyteryum murowanem, dość czysto utrzymany. Rektorem kościoła był tu w czasie misyi ks. kanonik Karol Zoeller, były katecheta gimnazyalny. Podawszy się na pensyę, osiadł tu w Puźnikach, wystawił dużą rezydencyę, urządził ładny ogród, zbudował obszerną szkołę, ochronę, całą pensyę wkładał na polepszenie kościoła i plebanii, słowem duszą był oddany Puźnikom i Puźniczanom.

Przez trzy dni kościół od rana do późnej nocy był przepełniony mimo nawalnego deszczu i niepogody. Wszyscy, przejęci jak rzadko gdzie misyami, na głos wołali: „takich nauk jeszcześmy nie słyszeli nigdy w życiu“, wszyscy też słu-

bowali Bogu trzeźwość. Ks. Zoeller nie mógł brać udziału w nabożeństwie misyjnem, był bowiem sparaliżowanym, o własnych siłach nie potrafił się ruszyć. Odwiedzaliśmy go codziennie, a on zawsze cieszył się z nami, płakał jak dziecko z radości, że ma w swej chacie synów św. Wincentego, z którymi w młodości swej jeździł po misyach. Za dwa czy trzy miesiące po misyach zakończył swój ciężki żywot, pozostawiwszy po sobie wdzięczną pamięć u ludu, który na każdym kroku wspomina o swoim Ojcu i Dobrodzieju.

Porchowa. Z Puźnik ruszyliśmy do Porchowej, oddalonej 11 klm. od Puźnik. Tu jest mała kapliczka ale bardzo gustowna i ładna. Położeniem przypomina Lourdes, bo leży na stoku góry zalesionej, za kaplicą zaś nagła przepaść, obok kaplicy z popod skał wypływa orzeźwiające źródło, bardzo obfite w dobrą i smaczną wodę. Kaplica ta poświącona N. P. M. z Lourdes. Porchowa liczy wiernych łacińskiego obrządku 670, naturalnie kapliczka ta za mała, ścisk więc nie do opisania, nadto deszcz ustawicznie przeszkadzał. Była to istna arka Noego — jeden ksiądz odprawiał mszę św., drugi obok ołtarza mówił różaniec z ludem, trzeci spowiadał. Wszyscy się zainteresowali misyą i naukami do tego stopnia, że w trzecim dniu musieliśmy przenieść się do miejscowej cerkwi, bo i Polacy i Rusini zbiegli się na misyę, a tu deszcz nieubłagany jak z cebra leje. Wyspowiadało się bardzo wielu i Rusinów i Polaków. Koniec misyi uwieńczył ładny krzyż, przy którym ks. Truszkowski pod parasolem wygłosił ładną mowę pożegnalną, przerywaną szlochaniem ludu.

Barysz. Po obiedzie we dworze, ruszyliśmy do Barysza, błoto nielitościwe jak po potopie, utrudniało nam podróż. Z niecierpliwością oczekiwali nas Baryszanie, bo już wieczór zapadł. Wielką świątynię, szczelnie zapełnioną wiernymi, rzęsiście oświetlono. Rozpoczęliśmy pracę misyjną z pewną obawą, czy podołamy robocie, bo jeszcze poprzednia misya stoi nam przed oczami. Lud tu bardzo chętny do kościoła i nabożeństwa. Ledwie zadzwonią, a już ludek ten biegnie na wyścigi do świątyni i mógłby jako przykład doskonałego

posłuszeństwa niejednemu zakonnikowi posłużyć. Pracowaliśmy tu od 22. do 30. września. Na uroczystość św. Michała przypada tu odpust. Gdy się tłumy ludu zebrały z poblizkich wsi i parafii, urządziliśmy uroczystą procesyę ku czci Niepokalanie Poczętej Matki Bożej, u stóp statuy N. Panny odczytano akt poświęcenia się całej parafii, odśpiewano litanię, *Te Deum* i zakończono kazaniem o wytrwaniu w dobrem. Wyspowiadaliśmy w czasie misyi w samym Baryszu około 2700 ludzi, nie licząc w to Puźniczan i mieszkańców Porchowej. Do bractwa św. trzeźwości przystąpiło więcej niż połowa.

Hłuboczek. Wypocząwszy trochę w domu, wyjechaliśmy wnet, bo już 29. października tego samego roku do Hłuboczka Wielkiego pod Tarnopolem. Ks. Prałat Twardowski od dawna nosił się z myślą tą, aby we wszystkich wioskach inkorporowanych urządzić misye. Zaczął od Hłuboczka Wielkiego. Wybudował prawie swoim kosztem kościółek bardzo ładny dla mieszkańców tutejszych i w tym to kościółku urządziliśmy 3-dniowe rekolekcye Sam Hłuboczek liczy tylko 270 dusz, ale okoliczne wioski i parafia Płotycz żywy brały udział w misyi tak, że trzeba było na dworze prawić nauki, gdyż kościółek ani $^1/_{10}$ ludzi pomieścić nie mógł. Wszyscy zebrani Polacy powrócili do obrządku łacińskiego i ze łzami wdzięczności dziękowali ks. Prałatowi Twardowskiemu za urządzenie misyi.

Petlikowce Stare. Ks. Jan G w o ź d z i o w s k i, proboszcz tutejszy, od kilku lat już prosił nas do siebie. Nareszcie doczekał się tego, jak on mówi, szczęścia. Z Hłuboczka zajechaliśmy do Buczacza, a potem drogą kołową do Pełlikowiec. Kościółek tu niewielki, drewniany, pomieścić może około 1000 ludzi. Erekcya tej parafii sięga roku 1421. Praca była tu nader przyjemna. Słuchacza nie brakowało przez całą misyę. Lud bardzo tu rozruszany, przywiązany do kościoła i obrządku swego. Okoliczni księża chętnie nam spieszyli z pomocą duchowną i dlatego nie czuliśmy ciężaru pracy misyjnej. Wyspowiadaliśmy około 2500 ludzi. Ks. Domaradzki

pozostał jeszcze po misyi przez kilka dni w Pełlikowcach, jeździł po wsiach inkorporowanych i dobijał resztki tych, którzy nie mogli się wyspowiadać w Pełlikowcach, lub też od wódki ślubować nie chcieli. Żyd karczmarz zaraz po naszym odjeździe przyszedł do ks. Proboszcza z żalem i prawie płacząc powiada: „Co to jest takiego, ja już kilka misyj pamiętam w Pełlikowcach, ale takiej kiepskiej misyi tom nie widział; sprowadziłem tanie likiery i wódki, aby ludzie mieli w czasie misyi wygodę, bo sądziłem, że w czasie misyi będę miał odbyt jak na tamtych, tymczasem zupełnie nikt mnie nie odwiedził nawet w czasie misyi, wódeczka i likier został mi wszystek, nie wiedzieć, co teraz z nim robić — a co najgorsza, że te księża jakąś przysięgą zobowiązali ludzi, aby wódki nie pili i do żydów nie chodzili; to nie dobre księże, bo P. Bóg kazał miłować bliźniego, a oni do żyda zakazują chodzić i z żydem rozmawiać. Ja takich księżów nie widział, jak żyję; tu mi nic nie pozostaje, chyba pojechać do Kanady". Takie były lamenta biednego żydka. Pogoda przez cały czas misyi była prześliczna, choć to już była późna jesień. Krzyża nie poświęcaliśmy tu, bo przed 3 laty księża Redemptoryści poświęcili go przy zakończeniu misyi.

Pojana Mikuli. Z wczesną wiosną bo pod koniec lutego 1905. już musieliśmy opuścić nasze leże zimowe i pojechać na Bukowinę do parafii Pojano Mikuli czyli Polana Mikołaja. Miescowość ta wspaniała i rzadkiej piękności, podobna do gniazda, otoczonego górami i pagórami wysokimi; zdawało się nam, żeśmy co najmniej w Alpach lub Szwajcaryi. Wyjechaliśmy 22. lutego ze strachem Bożym z Kaczyki od konfratrów naszych do Sołońca kołową drogą, a ze Sołońca saniami. Droga przez góry romantyczna; okolica czarująca, coraz nowe widoki odsłaniały się oczom naszym. Zaznaliśmy i przygód i strachu niemało, dobrze, że konie góralskie przyzwyczajone do gór i dróg górskich nieraz tak spadzistych, żeśmy się obawiali, że spadniemy wznak lub że i szkapy na nas zlecą. Po godzinie wdrapaliśmy się do słowackiej osady zwanej Pleszą, wysokości jakich 700 metrów. Odtąd mieliśmy

się spuszczać na dół. Są tu szczątki jeszcze dawnej, starej drogi, bo podobno prowadził tędy główny trakt murowanej rzymskiej drogi. Co za wspaniały widok odkrył się oczom naszym na szczycie Pleszy! Po kilku godzinach stanęliśmy na miejscu przeznaczenia, gdzie nas już oczekiwał miejscowy pasterz ks. Andrzej Zoles. Pojana Mikuli rozpada się na dwie części, przedzielone w środku kościołem. Wschodnią część zamieszkują Słowacy, część zachodnią Niemcy. Słowacy przybyli tu za czasów Maryi Teresy i Józefa II. z Węgier z okolicy Trenczyna, dzisiaj już tylko mówią po polsku międy sobą, a nawet języka polskiego używają w szkole jako wykładowego. Bardzo to dobry i pracowity naród, cichy, chętny do kościoła i Boga, przytem ma usposobienie naszych górali tatrzańskich, zwłaszcza wesołość i śmiałość. Niemcy naród paważny, więcej skryty, wrażliwy i dbający bardzo o swoją wygodę; do nabożeństwa niezbyt pochopny, ale pracowity, poczuwający się do obowiązku i lubiący przedewszystkiem porządek. Aby wszyscy mogli wziąć udział w misyi, urządziliśmy właściwie dwie misye. Najpierw trzy dni dla Niemców, a trzy dni potem dla Słowaków. Jakże to nam dziwnie brzmiał ten język szwabski w ustach polskich! Kazania, modlitwy, nabożeństwa, pieśni, wszystko „deutsch". Zainteresowanie się misyą było wielkie, ale jednak więcej mieliśmy zadowolenia z naszych Polaków aniżeli z Niemców, którzy lubili nam zaraz po kazaniu uciekać. Wyspowiadali się wszyscy Niemcy i Słowaki. Czytać umieją tu prawie wszyscy, w kościele śpiewają do podniesienia po polsku, a potem po niemiecku, tak samo nieszpory połowa po polsku, połowa po niemiecku; kazanie jedno przed sumą, a drugie dla drugiej narodowości po sumie. Przed Komunią generalną przemówił w gorących słowach do Niemców ks. Prałat Swoboda Klemens, dziekan, i zmusił ich, aby przeprosili swego duszpasterza, którego z namowy złych i zepsutych ludzi opisali i oczernili w konsystorzu. Wszyscy płakali i przepraszali swego proboszcza. Jest to jednak naród uparty, bo niedługo po misyi znowu zapomnieli o tem i jeszcze więcej oczernili swego ojca duchownego, do tego stopnia, że

ten zniechęcony do nich, prosił ks. Arcybiskupa, aby go był łaskaw zabrać z Pojana Mikuli na inną posadę.

W niedzielę zapustną wyjechaliśmy, żegnani łzami poczciwych Słowaków. Przybywszy do Kaczyki późnym już wieczorem, przenocowaliśmy, a nazajutrz wybraliśmy się do Radowic, aby złożyć wizytę i uszanowanie księdzu dziekanowi i prałatowi Swobodzie. We wtorek ruszyliśmy dalej w podróż. Po drodze odwiedziliśmy nasze siostry w Śniatynie, Kołomyi i Zaleszczykach.

Horodenka. W sobotę przed 1-szą niedzielą postu udaliśmy się z ks. Truszkowskim z Zaleszczyk do Horodenki, a spóźniwszy się na pociąg, musieliśmy wojażować fiakrem żydowskim. Po trzech godzinach byliśmy już na plebanii w Horodence u ks. Kanonika Edwarda Bladowskiego, gdzie nas już oczekiwał ks. Domaradzki. Na sumie w niedzielę zaczęliśmy pracę apostolską. Lud brał żywy udział przez 5 dni. Wyspowiadaliśmy w miejscu przeszło 1000 osób. Przed 7 laty odprawiali tu Konfratrzy nasi misye, ale jak nam mówiono, ani połowy nie było tyle ludzi, ile teraz. Wspaniała bazylika pomisyonarska od rana do wieczora wiernymi była zapełniona. Praca, choć ciężka i trudna, była nam o tyle miła, żeśmy się trudzili w miejcu, gdzie nasi przodkowie Misyonarze krwawo na swoje i ludzkie pracowali zbawienie. Kościół tu przepyszny o dwóch wieżach, przypomina w głównych zarysach kościół nasz na Stradomiu, tylko że znacznie obszerniejszy. Obecny proboszcz, ks. Bladowski, gorliwy sługa Boży, postarał się, że pokryto nowym dachem ten imponujący dom Boży, który prawie groził ruiną; obecnie troszczy się o to, aby go na zewnątrz odrestaurować i kiedyś, gdyby Zgromadzenie zechciało, oddać Ks. Ks. Misyonarzom. Dom obok stojący, o wielkich rozmiarach, przypomina także bardzo dom stradomski. Proboszcz jest tylko w ósmej części właścicielem jego, reszta stanowi rezydencyę starostwa i sądu. Ogród bardzo wielki jest własnością probostwa. Dawniej, na mocy fundacyi, mieszkało tu 10 kapłanów i 2 braci Zgromadzenia naszego. Na utrzymanie kościoła, domu, dwunastu ubogich i kapeli skła-

dającej się z 8 osób, zapisał fundator Mikołaj na Potoku Potocki 3 wsie: Strzelce, Horodnicę i Patoczyska. Kasata Zgromadzenia za Józefa II. wydarła dobra te i kościół Misyonarzom i oddała ludziom świeckim. Majątek nasz dawny jest dziś już w trzecich rękach. Misyonarze pracowali tu mniej więcej lat 60; 12 z nich spoczywa w podziemiach olbrzymich kościoła.

Ks. Fr. Buchhorn.

List ks. Superyora Stanisława Koniecznego do ks. Redaktora.

(Sprawozdanie z Misyi.)

Ciąg dalszy.

Hartford Conn. 26. marca do 9. kwietnia 1905 r.

W tej stolicy stanu Connecticut jest niewielka osada polska, ale dziwnie miła. Miły tam proboszcz ks. Stanisław Łozowski, młody wiekiem, ale stary doświadczeniem. Dziwnemi drogami prowadziła go Opatrzność Boska do ołtarza Pańskiego. Jako student po ukończeniu gimnazyum w Królestwie Polskiem wybrał się ze starszymi do Ameryki, pracował ciężko w pensylwańskich kopalniach węgla, potem, pragnąc czemprędzej wyuczyć się języka angielskiego, zapisał się jako ochotnik do amerykańskiej milicyi. Stamtąd wystąpiwszy, pracował w różnych przedsiębiorstwach, ale myśl o kapłaństwie nie opuszczała go nigdy. Bóg ciągle pukał do jego serca i szeptał przez wewnętrzne natchnienia, że on wybrany jest do tego grona ministrów, których sam Zbawiciel nazwał: *„vos amici mei estis"*. Porzucił więc świat, posłuszny głosowi Bożemu, wstąpił do polskiego seminaryum w Detroit, gdzie, mając przygotowawcze studya ukończone, po paru latach został wyświęcony na kapłana.

Obecnie pracuje jako proboszcz z wielkim pożytkiem dla Kościoła i dusz. Miły jest kościółek, mały wprawdzie, ale jasny i czysty, a najmilszym lud, który swą pobożnością i ofiarnością pociąga ku sobie serca wszystkich. To też jedzie się do Hartford zawsze z radością, a odjeżdża się ze smutkiem. Po 24-godzinnej podróży stanęliśmy w miejscu zupełnie wyczerpani — szczęściem, że zaczęcie misyi było zapowiedziane na niedzielę. Misya w Hartford miała zupełnie inny charakter niż w Erie. Tam przychodzili ludzie regularnie

przynajmniej na wieczorne nauki, w których obrabia się najważniejsze tematy, byli więc dobrze przysposobieni do Sakramentów św., a praca nasza w konfesyonale nie taka nużąca. Tutaj oprócz miejscowych, którzy nadzwyczaj gorliwie uczęszczali na wszystkie nauki, garnęła się cała okolica. Wokoło Hartford leży mnóstwo drobnych miasteczek, gdzie mieszkają Polacy po kilkanaście a nawet kilkadziesiąt rodzin. Ci wszyscy, dowiedziawszy się o misyi, przybywali do Hartford, a ponieważ tramwaj kosztował ich kilkadziesiąt centów, więc mimo dobrych chęci, przyjechali raz lub dwa i zaraz do konfesyonału, by zrzucić dokuczające im brudy grzechowe. W Erie była misya dla samych Polaków, w Hartford zaś, powiedziałbym, że była misya na małą skalę słowiańska — Polacy, Czesi, Słowacy, kilku Chorwatów, wielu Litwinów — wszyscy, którzy mogli jako tako rozmówić się ze spowiednikiem, przychodzili wyznawać grzechy swoje. Mimo tych trudności praca nasza była wielce ułatwiona. Najpierw dlatego, że zeszłego roku była tu misya gruntownie odprawiona przez naszych konfratrów, którzy przyjechawszy świeżo z kraju, dokazywali tu cudów gorliwości i pracy, gdyż raz przytrafiło im się, że całą noc zamiast w łóżku spędzili w konfesyonale i stamtąd o świcie poszli jedni do ołtarza, drudzy na ambonę, Amerykanie zaś z podziwem patrzyli na tych Polaków, którzy całą noc spędzić potrafią jak święci na bogomyślności, a z brzaskiem dnia wracają na swe stanowiska do fabryk. Powtóre, mając w sąsiedztwie konfratrów, spodziewaliśmy się od nich pomocy. I rzeczywiście oprócz nas trzech, (ks. Waszke przyjechał we środę), dojeżdżali z pomocą ks. Głogowski i ks. Sołtysek z New-Haven. Praca szła wesoło. Chociaż znużeni, pracowaliśmy chętnie i wytrwale, widząc z jaką ochotą ludek uczęszcza do kościoła i słucha słowa Bożego. Ponieważ, jak wyżej wspomniałem, tutejsza parafia jest nieliczna, urządziliśmy misyę na jeden stan, która trwać miała tak długo, dopóki ludzie będą do spowiedzi. Byliśmy zajęci pracą pełne dwa tygodnie. Wyspowiadaliśmy 1000 osób. Po raz pierwszy dało się nam tutaj odczuć nieporozumienie

ludu naszego z władzą duchowną. W Rockville powstała przed kilku laty duża osada polska. Większość tamtejszych Polaków wybrała z pośród siebie komitet, który miał się postarać o rychłe zorganizowanie polskiej parafii i o polskiego księdza. Zakupili obszerny dom, który zamieniony został na kaplicę, a sąsiedni dom przeznaczyli na tymczasowe mieszkanie dla przyszłego proboszcza. Wszystko szło składnie, tylko trudno było dostać polskiego kapłana. Zjechał wreszcie do kościoła ksiądz irlandzki, jeden z tych kapłanów, którzy byli parę lat w lwowskiem seminaryum, aby nauczyć się polskiego języka i pracować w przyszłości w Ameryce nad Polakami. Ów nowowyświęcony kapłan, nie mając znajomości ludu polskiego, zaraz w pierwszą niedzielę zapowiedział, że przyjechał na to: „aby mówił kazaniów i zbierał kollektów“ na spłacenie biskupowi kosztów za podróż i studya odbyte w Europie. Ludzie, gdy chodził po domach, odpowiadali mu, że płacić nie będą, gdyż nie chcą mieć go wpośród siebie wcale, ponieważ po polsku mówi jak żyd i ani ewangelii poprawnie odczytać nie potrafi. Próbował się bronić, tłumacząc, że ma dobre chęci, że przestając z nimi, niebawem wprawi się w polskim języku, lecz ludzie na to odpowiadali, że pragną mieć księdza, któryby ich uczył, a nie oni jego. Biedny Irlandczyk zaprzestał i kazaniów i kolektów, a ks. biskup odwołał go i na jego miejsce posłał księdza polskiego. W czasie naszej misyi, sprawa ta przybrała bardzo ostry charakter. Polacy wzięli na upór i zdawało się, że już część odpadnie od Kościoła i powiększy szeregi niezależnych. Postanowili nie chodzić do kościoła irlandzkiego nawet w niedziele, zato zbierali się w swojej kaplicy, a najstarszy z nich klękał przed ołtarzem i przewodniczył w różańcu lub intonował nabożne pieśni, — tak pomodliwszy się dobrą godzinę, wracali spokojni do domów, sądząc, że modlitwa ich złączona z prześladowaniem przebije obłoki i rozbroi Najwyższego. Gdy zaś nadszedł czas wielkanocny, umówili się, że nie pójdą do spowiedzi do polskiego księdza przy irlandzkim kościele, aby tym sposobem wyrazić, że oni nie chcą mieć polskiego

księdza tylko, ale osobną parafię polską. Misya w Hartford była dla nich na rękę, zdawało im się, że mogą z jednej strony protestować, a z drugiej wypełnią obowiązek wielkanocnej spowiedzi przed jednym z Misyonarzy. Gdy w niedzielę uspokajałem ich w kazaniu, a zarazem stanowczo oświadczyłem, że jako katolicy obowiązani są w niedzielę wysłuchać Mszy św. albo w irlandzkim albo w polskim najbliższym kościele, byli trochę niezadowoleni, lecz potem przyszli najpoważniejsi z nich, aby wstawić się za nimi do biskupa i poprzeć ich prośbę. Niedługo po misyi posłał do nich ks. biskup księdza czeskiego, który jednak dobrze mówi po polsku i tym sposobem zatarg ten ustał i zmniejszyła się wielka obraza Boża i zgorszenie, szerzone po całej okolicy. Znowu pozostał sam ks. Waszke, aby dokończyć spowiedzi, zaprowadzić bractwo różańcowe i zakończyć misyę w niedzielę, a ks. Trawniczek ze mną udał się na trzecią misyę do Floral Park'u.

Floral Park. L. I.9. do 20. kwietnia 1905 r.

Miejscowość ta leży na wyspie „Long Island“, największej z tych, które znajdują się w pobliżu Nowego Jorku. Polaków mało osiada w tych stronach, gdyż na wyspie niema wiele fabryk, a nasi robotnicy z szczególniejszem upodobaniem lubią pracować w fabrykach, a wstręt czują do rolnictwa. Obecnie mamy na całej wyspie 4 polskie małe parafie, z tych dwie starsze (w Jamaica i Elmhurst) a dwie świeżo powstałe t. j. Floral-Park i Riverhead. Parafia, o której mowa, została zorganizowana przez ks. Józefa Świerczyńskiego, obecnego proboszcza, przed czterema laty. Pasterz tamtejszy, lubo miniaturowych rozmiarów, jednak bardzo energiczny i gorliwy. W tak krótkim czasie zdołał przy współudziale życzliwych parafian wybudować murowany z czerwonej cegły kościółek, a obok tego plebanię i zaopatrzyć we wszystkie potrzebne, a wcale okazałe aparaty. Osadnicy tutejsi pochodzą prawie wszyscy z różnych stron Królestwa Polskiego. Zaledwie kilku z nich posiada własne farmy, a inni pracują jako najemnicy po angielskich gospodarstwach. Płaca

miesięczna zdrowego i silnego robotnika wynosi od 20 do 25 dolarów, prócz wolnego pomieszkania i wiktu. Inni, nie smakując w angielskiej kuchni, stołują się u siebie, pobierając za swą pracę 1·25 do 1·50 dolar. dziennie. Dziewczęta pracujące po farmach dostają dolara na dzień. Ziemia na tej wyspie jest bardzo urodzajna. Zboża nie sieją tu wcale, kukurudzy sadzą bardzo mało — tyle, aby starczyło na podściółkę dla bydła. Największe dochody przynoszą im ziemniaki, znane ze swego smaku we wszystkich sąsiednich stanach, a prócz tego jarzyny różnego rodzaju jak: kalafiory, sałaty, marchew, buraki, fasole i groch. Zbyt wszystkich płonów jest bardzo łatwy, bo w sąsiedztwie znajdują się olbrzymie miasta: Nowy Jork, Brooklyn i Long Island City. Nadto są tu na wielką skalę hodowle prześlicznych kwiatów. Pewien Amerykanin dorobił się na nich milionów, a miejscowość głównie od jego cieplarni i ogrodów dostała nazwę, pod którą dzisiaj wszędzie jest znaną. Kto zna szczególniejsze upodobanie Amerykanów do kwiatów, kto codziennie widuje proste fabrykantki z bukietami fiołków, a konduktorów z różą w butonierce u podartej marynarki, ten nie zadziwi się, że z takich bagateli zbiera się miliony.

Powietrze jest na całej wyspie doskonałe. Upały letnie łagodzi chłodny wietrzyk od morza. Czasami jednak zrywają się z Atlantyku gwałtowne wichry, które szerzą zwłaszcza w lasach wielkie zniszczenie. Opowiadał nam ks. proboszcz, że taki huragan nadszedł w czasie budowy kościoła. Zerwał wtedy dach kościelny i rzucił w dalekie pola, kozły poroznosił po całej okolicy, łóżko zaś, na którem spoczywał, odsunął od ściany na parę łokci. Mieszkał on wtedy w drewnianym domku na otwartem polu, gdzie wiatr, nie wstrzymywany ani przez domy ani przez drzewa, mógł wyprawiać harce według swych kaprysów.

Milionerzy amerykańscy budują tu swoje letnie rezydencye. Niektóre z nich wystawione na ustroniu w zaciszu leśnem, umajone zielenią i kwiatami, robią wrażenie jakiegoś raju na ziemi. Przyznać to trzeba Amerykanom, że domo-

stwa swoje umieją urządzić z wielkim gustem i takim komfortem, że chyba najgrymaśniejszy sybaryta czułby się w takim pałacyku zupełnie zadowolony. Niedaleko od polskiego kościółka ma swoją willę Vanderbilt, król amerykańskich kolei, a parę angielskich mil dalej jest słynne „Oysters-Bay", prywatna rezydencya Teodora Roosevelt'a, obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Misyę albo właściwie „triduum" odprawili przed dwoma laty OO. Jezuici i w przedsionku ustawili krzyż na pamiątkę. Nas sprowadził ks. proboszcz, abyśmy jeszcze raz przeorali te serca i ustalili je w służbie Bożej. Pod względem obszaru parafia ta ciagnie się w głąb wyspy na 30 mil angielskich. Polaków wszystkich mieszka na tej przestrzeni, jak obliczał proboszcz, co najmniej 4000, a stałych, płacących parafian ma zaledwie do tysiąca. Jarzmo Pańskie ciągnęliśmy we dwóch t. j. ks. Trawniczek i ja. Misyę, która miała trwać półtora tygodnia, urządziliśmy na jeden stan. Wieczorami był kościół zapełniony, na sumie również liczna frekwencya, a w ciągu dnia kościół pusty. Czy więc można zarzucić tamtejszym ludziom obojętność religijną lub brak wiary? Sądzę, że nie. Ale liczne zajęcia przy gospodarstwie, daleka droga lub trudność uwolnienia się ze swych obowiązków usprawiedliwiają wielu przed Bogiem i ludźmi. Inni, których świątynia nie ogląda ani raz w rok, oddali się od początku skrzętnemu zbieraniu grosza, a ponieważ służba Boża w Ameryce wymaga pewnych wydatków, więc oni woleli poświęcić Boga i duszę, niż ucierpieć jakiś uszczerbek w kasie.

W godzinach nabożeństwa plac przed kościołem wyglądał jak rynek handlowego miasta. Tu jednokonne powoziki o cienkich a wysokich kołach, tam znowu cała wystawa rowerów, których wielkość i kształty świadczyły, że pochochodzą z najrozmaitszych epok. Właściciele zaś tych żelaznych wierzchowców chwalili Boga w świątyni. Po skończonem nabożeństwie chłopiec czy dziewczyna, dosiadłszy rumaka, spieszyli do domu, tylko tumany kurzu unosiły się za nimi. Co kraj to obyczaj! Dawniej Maciuś lub Kasia dreptała boso

do kościoła, niosąc buty na plecach, by się nie powalały, a dzisiaj 2 lub 3 miesiące po przyjeździe ze starego kraju, ma swój „bajsykl“, na którym ugania lepiej, niż niejeden elegant galicyjski. Garnął się ludek do Boga i kruszył w konfesyonale. Wyspowiadaliśmy wszystkich, co byli, tj. 750 osób, a resztę pojednał z Bogiem ks. Waszke, zastępując proboszcza, gdy tenże pojechał na pielgrzymkę do Ziemi świętej. — W Wielki Czwartek wracaliśmy znowu w trójkę, by odpocząć nieco po trudach przez święta i nabrać sił do nowej pracy, która czekała na nas. Lecz o tem potem. Powrót nasz nie był zbyt radosny, bo nie mając jeszcze własnego domu, wracaliśmy, aby odpocząć w cudzym domu — na probostwie ks. B. Tomiaka w Manayunk. Przyjmij, kochany Konfratrze, tę wiązankę wiadomości o misyach dla Braci i Sióstr, by wspólnie z nami chwalili Boga za to, co zdziałał w sercach ludzkich przez łaskę swoją.

Ks. St. Konieczny.

Misye w Persyi.

Persya — to kraj pełen wspomnień historycznych, wspomnień pierwszorzędnej potęgi i chwały wielkich monarchów-zdobywców. Dziś z tej potęgi zostały tylko pomniki wielkich Cyrusów i Daryuszów. Tak, jak potęga dawnej Persyi spoczęła w granitowych sarkofagach i podziemiach świątyń, tak i religia dawnej Persyi upadła, upadło panowanie Ormuzda i Arimana [1]).

Nie natrafiło też na żyzną glebę słowo Boże, głoszone w Persyi przez świętych Apostołów, owszem herezye, jak nestoryanizm i monoteletyzm znajdywały w Persyi silne poparcie. Odepchnąwszy prawdziwą ewangelię, kraj ten nieszczęsny, wpadł w ręce fanatycznego Mahometa. Miecz muzułmański podbił ten kraj, którego obszar zmieściłby w sobie: Niemcy, Austro-Węgry i Francyę. Muzułmanizm, gniotący od 15 wieków Persyę, zostawił ślady na tym kraju. Ta Persya, która już za Daryusza zdobyła się na wspaniałe drogi i poczty, nie potrafiła nawet utrzymać tego, co odebrała w dziedzictwie i do dziś ma tylko jedną linię kolei żelaznej, zbudowaną w r. 1888., prowadzącą z Teheranu do Szach Abdul-Asim, długości 11 klm. Prawie do ostatnich czasów jedynym znakiem postępu był indo-europejski telegraf.

Na początku XVII. w. dzielny szach Abas I. chciał zbudzić Persyę z wiekowego uśpienia i usiłowania swoje skierował w dwie strony: do Rzymu i do Polski. Posłowie jego podążyli do Klemensa VIII., prosząc o misyonarzy, a rzeczposp. mieli prosić o pomoc przeciwko Turkom. Groza turecka związała Polskę i Persyę przymierzem. Posłowie Abasa

---

[1]) Do potomków dawnej religii można zaliczyć starych Persów czyli czcicieli ognia, których jest koło 5.000.

nie doszli jednak do Zygmunta III., zatrzymał ich Borys Godunow. Klemens VIII. powierzył misyę perską OO. Jezuitom, ale bez pieniędzy nie mogli się wybrać w tak daleką drogę. Wyprzedzili ich Augustyanie z Goy. Abas przyjął ich przychylnie, pozwolił się osiedlić. Papież nie uznał jednak tej misyi, lecz powierzył ją Karmelitom Bosym, którzy z listem poleconym Zygmunta III., wyprawili się w podróż. Po dwutygodniowem więzieniu w Rosyi wrócili do Krakowa. Kilkakrotne usiłowania przejścia przez carstwo nie udawały się i dopiero w r. 1608 zdołali przybyć do szacha, który ich uroczyście przyjął. Osiedlili się więc Karmelici w Persyi i wnet dostali 3 kościoły w Erywanie. Następcą dzielnego Abasa został rozwiozły i okrutny Sefi. Władysław IV. proponował mu przymierze przeciw Turcyi i polecił gorąco misye. Wdzięczni za to Karmelici oddali się pod opiekę Władysława IV. i tak od samego zarania misya perska znalazła się pod protektoratem Polski. Do Polski przybył Mursabeg, celem naradzenia się względem planów wojennych, a z powrotem zabrał ze sobą 2 Karmelitów polskich. W całej sprawie przymierza z Persyą przeciw Turkom brała żywy udział Marya Ludwika. Myślała ona nad tem, by dla zabezpieczenia trwałości przymierza wysłać na dwór perski ludzi zdolnych i zaufanych. Wybór jej padł na francuskich Jezuitów i na cel ich misyi złożyła 15.000 liwrów. Za niedługo też otrzymała list od wsiadających na okręt w Marsylii Jezuitów, pełen wdzięcznych wynurzeń. Poseł Władysława IV. — Ilnicz wziął pod protektorat Polski pierwszych Jezuitów francuskich. O misyach pamiętali też następni królowie Polski; Jan Kazimierz i Michał przez posłów roztaczali nad niemi opiekę. Powaga Polski w Persyi była wielką, szczególniejszą jednak sympatyę zyskał sobie u Persów król Sobieski, którego nazywano el ghazi tzn. bohater Boży. Skoro szach Sulejman dowiedział się o zwycięstwie pod Wiedniem, ucieszył się niezmiernie; a ponieważ wieść niosła, że król polski zdobył nawet Konstantynopol, zawezwał do siebie Buchtambega i spytał: „co zrobią chrześcijanie z Turkami w Konstantynopolu?“ — Wszyst-



Uczennice Sióstr Miłosierdzia w Urmii.

kich muzułmanów wytną w pień — odpowiedział Buchtambeg. Szach rozśmiał się serdecznie, a przeżegnawszy się po chrześcijańsku rzekł: „skoro chrześcijanie Konstantynopol zdobędą, to ja sam zostanę chrześcijaninem“. Następnie pił zdrowie polskiego króla i wojsk chrześcijańskich i upił się potężnie.

Przez pewien okres czasu rezydentami króla polskiego w Persyi byli Jezuici. Pod koniec XVII. w. było w Persyi 12 wielkich misyj pod kierunkiem OO. Jezuitów, Augustyanów, Karmelitów i Kapucynów ze stolicą biskupią w Ispahanie, która już istniała od roku 1629. Za panowania Husseina 1718 r. powstało groźne prześladowanie chrześcijan, o którem nas informuje suplika wysłana do króla polskiego przez O. Wieczorkowskiego: „Niewinni różnych reguł zakonnicy ze swym arcybiskupem i katolicy doznają złego obejścia od Persów: ci bowiem policzkują ich, biją kijmi, okuwają w kajdany, wtrącają do więzień, odzierają z mienia, nieznośnymi obciążają podatkami, co roku to większymi, wykopują z grobów nieboszczyków na urągowisko i znęcanie się: kościoły i miejsca św. bezczeszczą i burzą, Najśw. Sakrament depcą nogami“. Chrześcijanie proszą zatem o posła, któryby był osobistością poważną i znaczącą, lecz niestety król polski nie miał już wtenczas pieniędzy na kosztowne poselstwa i posłem-rezydentem mianował znów O. Wieczorkowskiego. Po zebraniu dość hojnych jałmużn, wyruszył misyonarz do Persyi. Błogą w skutki działalność rozwinął w Persyi O. Krusiński, który był nieraz przedstawicielem spraw katolickich na dworze perskim i zostawił cenne źródła do historyi misyi perskiej. Aby zdać sprawę ze stanu misyi, udał się O. Krusiński do Propagandy, tymczasem w Persyi wybuchła wojna z Afganami, a następnie wojna domowa, która doszczętnie zniszczyła misyę katolicką tak, że gdy niezmordowany O. Krusiński wyprawił się w r. 1740 drugi raz do Persyi, która wtedy pod szachem Nadirem doszła do pierwszorzędnej potęgi zdobywczej, nie znalazł śladu polskiej misyi ani odpowiedniej dla siebie pracy.

Dopiero w 100 lat później misya miała być na nowo podjętą przez synów św. Wincentego a Paulo, w zmienionych zupełnie warunkach. W r. 1838 wysłało francuskie Ministerstwo Oświaty i Akademia Umiejętności Eugeniusza Boré do Persyi w celach naukowych. Powrócił po kilku latach z pięknymi wynikami swej misyi naukowej, niemniej jednak chlubnie zapisał swe imię w historyi misyi perskiej.

Gdy przybył do Persyi, wzruszył się na widok strasznej nędzy i opłakanego losu, w jakim zostawali chrześcijanie perscy. Zabrał się natychmiast do niesienia im pomocy i wystawił dla nich 4 szkoły: w Terbriz i Ispahanie dla Ormian, w Urmia i Salamas dla Chaldejczyków. Zwrócił się też coprędzej do Propagandy i stowarzyszenia Rozkrzewienia wiary, przedstawiając konieczność misyi w tym kraju. Do podjęcia zaś tego trudnego dzieła wskazał, jako na najodpowiedniejsze jego zdaniem, Zgromadzenie Ks. Ks. Misyonarzy. Propaganda zajęła się też zaraz tą sprawą.

W r. 1840 przybywa do Persyi pierwszy Misyonarz — ks. Fornier i jako prefekt apostolski osiada w Tebriz. W następnym roku przybyli z pomocą ks. ks. Darnis i Cluzel. Ks. Fornier pracował tu przez lat 18, mimo słabego zdrowia z poświęceniem bez granic, wśród różnych zmiennych okoliczności. Ks. Darnis nauczył się w krótkim czasie języków krajowców tak, że mógł Persom opowiadać ewangelię w rodzinnym ich języku. Ks. Cluzel, który później tak wysoko miał postąpić, miał serce przejęte gorliwością apostolską, kryjące niewyczerpane skarby chrześcijańskiej miłości. Trzej ci Misyonarze wzięli pod swe kierownictwo szkoły, założone przez Eug. Boré i obok rzeczy elementarnych, zaczęli uczyć języka francuskiego, armeńskiego, perskiego i rosyjskiego. Szkoły rozwijały się świetnie i wkrótce mogły się pochlubić liczbą 60 uczniów, ale też zaraz natrafiły na niepokonane trudności. Duchowni schimatyckich Ormian rzucili klątwę na rodziców, posyłających dzieci do szkół misyjnych i zaraz nastąpiło opróżnienie; w szkołach pozostało zaledwie 20 uczniów. Nie lepiej powodziło się Eug. Boré w Ispahanie, gdzie kierował

szkołą, założoną przez siebie. Kler ormiański rzucił się z wściekłością na niego. Biskup ormiański na koniu, z szablą w dłoni, przejeżdżał ulice i gromadził podburzony tłum. W groźnem położeniu uciekł się Boré pod opiekę pewnego muzułmanina, aż energiczna interwencya konzula rosyjskiego Duhamela położyła kres zaburzeniom. Biskup ormiański, jako poddany rosyjski, odesłany został do Rosyi i nie wrócił więcej. Tłum się uspokoił. Lecz wkrótce i Boré wrócił do Francyi, a cały ciężar misyi spoczął na 3 Misyonarzach. Ks. Darnis objął kierownictwo szkoły w Urmia, ks. Cluzel w Ispahanie, a ich przełożony ks. Fornier został w Tebriz. Byłoto rozłączenie przykre dla Misyonarzy, ale o wiele przykrzejszą była zmiana, jaka nastąpiła w konzulacie rosyjskim. Miejsce Duhamela zajął Meden, wywodzący ród swój od hugenotów francuskich. Rodzina jego osiadła w Rosyi po odwołaniu edyktu Nantejskiego. Meden postanowił pomścić na Misyonarzach katolickich wypędzenie ormiańskiego biskupa. Ponieważ Boré wyjechał już do Francyi, więc rozpoczął swą zemstę od ks. Forniera i oskarżył go, że szerzy gwałtowną propagandę wśród muzułmanów. Biedny Misyonarz nie otrzymał nawet pozwolenia przedstawienia swej obrony i musiał na zawsze opuścić Persyę. Ks. Darnis został superyorem, ks. Cluzel powierzył swą szkołę staraniom ks. Derderiana i połączył się z ks. Darnis. Ks. Derderian, Ormianin, był już wtenczas bardzo poważany z powodu gorliwości i świętości i umarł później jako biskup nominowany Ispahanu, gdyż konsekracyi biskupiej nie dożył.

Działalność misyjną rozwijają Misyonarze obecnie z 6 posterunków: Urmia, Khosrowa, Teheran, Tauris, Ispahan, i Dżulfa. Pracują tam nasi konfratrzy z zaparciem i poświęceniem, a pomoc niezawodną w budowaniu Królestwa Bożego na ziemi perskiej znajdują w drugiej rodzinie św. Wincentego — w Siostrach Miłosierdzia.

Zwiedźmy po kolei poszczególne posterunki misyjne, by następnie zwrócić baczniejszą uwagę na stan ogólny misyi perskiej w obecnej chwili.

Najważniejsza stacya misyjna jest obecnie Urmia. Na połd.-zachód od Tebriz, u stóp gór Kurdystanu aż do jeziora Urmia, rozciąga się wspaniała, żyzna równina, którą zraszają 3 strumyki a przeszło 300 siół rozpostarło swe chatki na jej łanach, Urmia zajmuje prawie środek równiny. Jest to miasto urocze, otoczone pięknymi ogrodami, liczące około 40.000 mieszkańców. Szczyci się ono, choć bez poważniejszych dowodów, że jest ojczyzną Zoroastra. Najwspanialszym pomnikiem tego miasta jest śliczna świątynia katolicka, zbudowana w stylu bizantyńskim przez Ks. Ks. Misyonarzy, przy końcu 19. stulecia, pod wezwaniem Matki Boskiej, tym właśnie tytułem Najśw. Panny, który odrzucają Nestoryanie, mający przewagę w tej okolicy. W samem zaś mieście ludność jest prawie cała mazułmańska, tylko w $^2/_4$ jest chrześcijańską, nadto jest jeszcze nieco Żydów. Gdy Ks. Ks. Misyonarze przybyli do Urmia, zastali już tu amerykańskich predykantów, którzy ich wyprzedzili. Predykanci nie zważali wcale na firman szacha, zakazujący propagandy, pod pozorem, że tenże w Urmia nie został ogłoszony i zaczęli na gwałt rozsiewać swe błędy. Misyonarze katoliccy poszli w tym względzie za ich przykładem, a ewangelizacya przyniosła im daleko obfitsze owoce. Początkowo nie przechodziła liczba katolików w Urmia i okolicy nad 200, a wkrótce się podwoiła. Przy pomyślnych postępach ewangelizacyi zabrali się Misyonarze do restauracyi starej budowy, która służyła za kosciół katolikom z Ardichai, wioski wielkiej, odległej o 20 klm. od Urmii. To stało się sygnałem strasznej burzy. Ardichai jest siedzibą arcybiskupa nestoryańskiego, który z początku był przychylny Misyonarzom, dał się jednak teraz podejść ich wrogom i wzniósł zażalenie do rządu. Z drugiej strony konzul Meden tylko czyhał na sposobność, by intrygować przeciw Misyonarzom.

Wkrótce też wyszedł z Teheranu wyrok wygnania ks. ks. Darnis i Cluzel. Ks. Darnis poszedł na wygnanie do Mossulu, ale ks. Cluzel, który powiedział, że gotów jest, bez wydania jęku, pozwolić sobie poderznąć gardło, poszedł z protestem

do Teheranu. Świeżo przybyły Misyonarz ks. Rouge znalazł schronienie w Khosrowie. Katolicy, napastowani, trzymali się dzielnie. Dom Ks. Ks. Misyonarzy w Urmia został zrabowany i wystawiony na licytacyę. Kupił go Francuz Nicolas, by go zachować dla Misyonarzy. Protest ks. Cluzela nie był bezowocnym. Pierwszy minister Mirza Agasi wysłuchał z troskliwością skarg Misyonarza i wskazał mu wioskę, gdzie swobodnie może wyczekiwać, aż zawita spokój. Tymczasem, stosownie do świeżej umowy z rządem francuskim, przybył do Teheranu poseł z Francyi p. Sartiges. On to swym wpływem przeciwdziałał Medenowi. Wyrok wygnania odwołano, został tylko zakaz przebywania w Ardichai i Urmii ks. ks. Darnis i Cluzel, który także upadł wraz z ustąpieniem Medena. Obaj ci Misyonarze obrali siedzibę w Khosrowie, a do opuszczonego Urmia poszedł ks. Rouge, by dalej rozwijać podjęte dzieła misyjne. Pracował zaś z takiem poświęceniem aż do r. 1863 tj. do swej śmierci, że zjednał sobie miłość wszystkich i uwielbienie. To, co chrześcijanie o nim opowiadają i rysy jego życia, które dotąd w pamięci ludu żyją, każą rozumieć, że godnym jest stanąć na ołtarzach ku czci publicznej. W 20 lat po śmierci wydobyto jego ciało i znaleziono je nienaruszone, co jest tem dziwniejsze, że w ziemię Urmii wsiąka wodospad i powoduje nieustanną wilgoć. Prace misyjne objął po ks. Rouge, ks. Varese, który przybył do Urmii w r. 1852, a jako kapłan odznaczał się gorącą wiarą i niewyczerpanym zapałem służenia Bogu i Kościołowi. Bardzo ważnym wypadkiem dla misyi w Urmii jest przybybie SS. Miłosierdzia w r. 1856 do tej miejscowości. Dziś Urmia jest rezydencyą delegata apost., którym jest ks. Lesné, arcb. Filipopoli. Przebywa nadto w Urmii 7 Ks. Ks. Misyonarzy. Jest tu szkoła św. Józefa, zakład sierot, drukarnia i wiele innych dzieł dobroczynnych.

Drugą najważniejszą stacyą misyjną jest Khosrowa, pierwsza placówka misyjna naszego Zgromadzenia w Persyi. Khosrowa wznosi się wśród, gęsto stosunkowo zaludnionej równiny Salamas, której ludność jest przeważnie nestoryańską. Wioska ta licząca 2.000 mieszkańców, otoczona ogrodami



Dom Ks. Ks. Misyonarzy i delegata apostolskiego (ks. Lesné) w Urmii.

i zielonemi błoniami, wygląda powabnie. Ludność jej jest katolicka; również prawie zupełnie katolicką jest wioska Patavour. Do katolików należą przedewszystkiem Chaldejczycy; Ormianie są schyzmatykami. Khosrowa leży w środku równiny Salamas i dlatego Misyonarzom najłatwiej stąd kierować całą pracą misyjną. Zapomocą katechizacyj, misyj, bractw, szkół i dobroczynnych zakładów, rozwijają działalność misyjną na wszystkie strony, we wszystkich 5 parafiach dyecezyi Salamas. Przed przybyciem Misyonarzy rządził tu 19-letni biskup nestoryański i 2 księży niewykształconych. Ciemnota wśród ludu była tak wielką, że graniczyła z komizmem. Delegat apost. Mgr. Trioche z Mezopotamii posłał tu jednego ze swych księży — Valerga, późniejszego patryarchę jerozolimskiego, który przez katechizacyę starał się oświecić lud, a następnie zabrał się do budowy kościoła, dziś skończonego i należącego do najpiękniejszych, jakie posiada misya wschodu. Gdy do Khosrowy przybyli ks. ks. Darnis i Cluzel, sądzili, że najpotrzebniejszą rzeczą jest wychowanie kleru z krajowców, i dlatego równocześnie z domem misyjnym stawiali szkołę, a następnie seminaryum. Z początku mieli tylko 12 uczniów, ale niebawem liczba się podniosła. Większa część wychowanków obrała zawody świeckie, niektórzy z powodu znajomości języka francuskiego dorobili się bardzo zyskownych posad w handlu; niektórzy zostali księżmi świeckimi, a część wstąpiła do Zgromadzenia. Pierwszym dyrektorem seminaryum został ks. Terral, który przybył w r. 1852 do Persyi, a zyskał na tem stanowisku takie zaufanie, że śmierć jego uważano za klęskę publiczną. Obok seminaryum były 2 szkoły: męska i żeńska. Szkołą męską kierowali Ks. Ks. Misyonarze, a na nauczycielkę dla szkoły żeńskiej przyjęto pewną panią, która była więcej nad ogół wykształcona. Lecz niestety nauczycielka nie potrafiła sobie zyskać zaufania ludności i ks. Darnis musiał myśleć o lepszych nauczycielkach. Udał się z prośbą do SS. Miłosierdzia, które w Konstantynopolu pielęgnowały rannych z wojny krymskiej. Przybyły i osiadły z razu w Khosrowie i Urmii i z gorliwością zaczęły budować szkoły,

ochronki, zakłady sierót i szpitale, a nadto odwiedzały chorych w ich własnych mieszkaniach. Ponieważ ze swych dobroczynnych zakładów nie wykluczały nikogo, owszem mieli do nich przystęp prócz katolików, nestoryanie i muzułmanie, SS. Miłosierdzia stały się wkrótce bardzo popularnemi. Szach Nasser-Eddin przyznał im roczną pensyę 200 tomanów (przeszło 2000 fr.), którą im też do dziś wypłacają. Słusznie też podnosi ich działalność ks. Malaval w misyach katolick. (lipiec 1906): „Na nieszczęsnej tej ziemi są one widocznem narzędziem Boskiej Opatrzności, poświęcenie zaś ich i zaparcie się siebie, wszelkie przechodzi granice. Od lat 18 patrząc na nie, nie mogę jeszcze zrozumieć, jak potrafią one się wywiązać z tak trudnego i skomplikowanego zadania. Wyniki jednak ich pracy są widoczne: one to zapewniły niewiastom chrześcijańskim to miejsce, jakie się im przy rodzinnem należy ognisku, oraz podniosły rodzinę na wyższy, niż dotąd, poziom. Jeżeli ludność, narażona na tyle pokus, trwa niezachwianie w wierze, winniśmy to głównie SS. Miłosierdzia“.

Katolicy mają w Kohsrowie 3 kościoły, zostające pod opieką kilku rodzin katolickich; dwa wzniesione na cześć Najśw. Panny, a trzeci ku czci św. Jakóba. Ks. Darnis umarł w r. 1858, przełożonym został Ks. Cluzel i teraz już kilku ks. ks. krajowców rozpoczęło pracę misyjną nad swymi ziomkami. Obecnie przebywa w Kosrowie 4 Ks. Ks. Misyonarzy, z ks. Malaval, jako superyorem, na czele.

W r. 1862 osiedli Ks. Ks. Misyonarze w Teheranie, stolicy Persyi. Teheran oddalonym jest od połud. wybrzeża morza Kaspijskiego o 20 mil, oddzielony od morza górami Elburs. Woda ściekająca z gór Elburs daje ziemi niezwykłą żyzność. Roślinność tu bogata, wspaniałe ogrody, Teheran chlubi się wieczną zielonością. Lecz jeżeli chodzi o samą stolicę, nie jest ona wcale uroczą. Miasto otoczone murem, ulice wązkie i ciasne, okryte grubą warstwą błota w czasie zimy, a w ciągu lata napełnione tumanami kurzu. Domy zbudowane bardzo skromnie, nie dorównują budynkom wielkich miast azyatyckiej Turcyi. Nie posiada też miasto nic godnego

uwagi, prócz rezydencyi szacha, którą zaliczyć należy do najwspanialszych rezydencyj w świecie. Teheran liczy przeszło 200.000 ludności, chrześcijan jest przeszło 1000. Do chrześcijan należą tu: Ormianie schizmatyccy i obcokrajowcy. Schizmatyków jest koło 700; obcokrajowców 400, z nich zaś połowa jest katolicką. Przez dłuższy czas pozbawieni byli ci katolicy pociech religijnych. Misyonarze z północy mogli tylko bardzo rzadko przybywać, dlatego dzieci przez długi czas były nie chrzczone, a chorzy na łożu śmiertelnem, napróżno błagali o Sakramenta św. Propaganda zajęła się położeniem tych nieszczęśliwych katolików i zażądała, aby przynajmniej jeden Misyonarz przebywał stale w Teheranie. W r. 1862 przybywa więc 2 Misyonarzy, ale tylko jeden umiał żyć w niezdrowem mieście. Ks. Plagnard zakupił grunt, zbudował piękną rezydencyę i kościół pod wezwaniem Matki Boskiej. Rezydencya Misyonarza stała się środowiskiem, około którego zgromadzili się prawie wszyscy europejczycy, przedtem zupełnie rozproszeni. Zbudowali oni sobie w pobliżu mieszkania i część miasta, przedtem bezludna, jest dziś najpiękniejszem przedmieściem Teheranu. W r. 1874 przybyły do Teheranu S. S. Miłosierdzia, zawezwane przez ks. Plagnarda, który poprzednio przygotował dla nich dom i obszerny lokal na szkołę. Wnet rozpoczęły dobroczynną działalność tak, jak w Kosrowie; wystawiły także szpital dla europejczyków, niebawem otworzyły drugą jeszcze szkołę męską i żeńską dla Ormian. I tu rząd pospieszył z pomocą 200 tomanów rocznie S. S. Miłosierdzia. Co do postępów wiary katolickiej w Teheranie, to dotąd nie mamy jeszcze bardzo pocieszających wyników. Obecnie przebywa w Teheranie dwóch księży Misyonarzy.

W r. 1900 założono misyę w Tauris. Obecnie jest tam 4 Ks. Ks. Misyonarzy i 4 S. S. Miłosierdzia. Nabożeństwa odprawiają się w kaplicy św. Grzegorza. S. S. Miłosierdzia utrzymują mały pensyonat, gdyż im brak funduszów do zbudowania większego. Ks. Ks. Misyonarze prowadzą także seminaryum, w którem wychowuje się obecnie 15 semina-



Wychowankowie Ks. Ks. Misyonarzy w Persyi.

rzystów. Położenie tej biednej stacyi misyjnej maluje nam list siostry Polki z 2. kwietnia 1905 r. „Tutaj kraj jest bardzo biedny, zwyczaje bardzo dziwne. Mamy też tutaj 4 Ks. Ks. Misyonarzy i jednego księdza armeńskiego, którzy nas budują swemi heroicznemi cnotami. Przedewszystkiem podziwiamy ich zaparcie się samych siebie i prawdziwie bohaterskie ubóstwo. Serce się kraje na widok spokoju i wesołości, z jaką znoszą brak najpotrzebniejszych rzeczy i niesprawiedliwość tych, dla których się poświęcają. Misyonarze mają tutaj 15 seminarzystów, ale ubóstwo tam takie, że prawie dość chleba nie mają. Jeżeli Ks. Ks. Misyonarze nie uzyskają żadnej pomocy, będą musieli wszystko opuścić. To byłoby wielkiem nieszczęściem dla całego tego biednego kraju i dla młodzieży, którą oni tak poczciwie wychowują".

Najmłodszą stacyą misyjną, założoną dopiero w r. 1903 jest Ispahan i Dżulfa. Ispahan, dawna stolica Persyi, liczący dziś około 80.000 mieszk., bardzo podupadł; w czasach swej świetności był 10 razy ludniejszy. Dżulfa oddzieloną jest od Ispahanu rzeczką śródlądową. Angielscy predykanci już od roku 1875 rozwinęli w Dżulfie działalność i wystawili tu nawet dom sierót; potrzeba więc było tutaj koniecznie katolickich Misyonarzy, aby ratować od zupełnej zagłady katolicyzm. Obecnie pracuje w Ispahanie i Dżulfie 3 Ks. Ks. Misyonarzy, mają kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Różańcowej i kierują szkołą św. Grzegorza Illuminatora.

Na czele całej misyi perskiej stoi delegat apostolski. Przez 30 lat początkowych misya miała na czele tylko prefekta apostolskiego i należała pod jurysdykcyę delegatury w Mezopotamii. O łączności Mezopotamii i Persyi, o znoszeniu się wzajemnem w sprawach kościelnych, mowy być nie mogło. Kraje te, oddzielone od siebie niebotycznymi i urwistymi szczytami gór Taurus, oraz rozbójniczymi góralami Kurdami, miały naturalne baryery graniczne, przez które przejść nikomu się nie udało. Dlatego też łatwiej było Misyonarzom perskim znosić się z Rzymem i Paryżem, aniżeli

z Mossulem. Było więc koniecznością utworzenie osobnej delegatury apostolskiej dla Persyi.

Utworzono ją w r. 1872. Pierwszym delegatem apost. został Mgr. Cluzel, arcb. Heraklei, administrator dyecezyi Ispahańskiej, Misyonarz, który sposobem życia, zdobył już sobie dawno szacunek u wszystkich, a teraz stanął obok pierwszych dygnitarzy Persyi. Szach przyjął go z należnymi honorami, obdarzył go orderem Lwa i Słońca i ogłosił w firmanie, że Mgr. Cluzel jest przedstawicielem wszystkich katolików w Persyi. Pierwszy delegat apostolski zjednał sobie 7-letnią działalnością wielkie uznanie i wdzięczność katolików. Katedra w Urmii, kaplice po wioskach, znaczna ilość szkół, drukarnia w Urmii — oto pomniki, które dają świadectwo o działalności Mgr. Cluzel'a, jako delegata apostolskiego. Dlatego też żałowano go powszechnie i opłakiwano zgon jego, który nastąpił w r. 1882. Dwaj następcy ks. Cluzela, Mgr. Thomas i Mgr. Montety bardzo krótko piastowali godność delegatów apost., z powodu niekorzystnego wpływu klimatu Persyi na stan ich zdrowia. Obecnie piastuje godność delegata apost. Mgr. Lesné, który już od 25 lat pracował w Persyi, jako misyonarz i przyzwyczaił się do zmian meteryologicznych, jakie panują w Persyi.

Obecnie misya perska przechodzi chwile krytyczne. Dzisiejsze położenie polityczne, ustrój wewnętrzny i klęski elementarne, które w tym roku nawiedziły Persyę, grożą tejże i jej misyom zupełną ruiną. Protektorat Rosyi smutnie się odbił na losach Persyi. Odcięta od handlu z ościennemi państwami, pogrążyła się w zastoju ogólnym, a teraz wraz ze swą protektorką ścigana jest widmem przewrotu. Turek nie boi się Rosyi i łupi bezpiecznie plony Persyi; Ormianie, którym grożą Turcy, przenoszą się do Persyi i wywołują różne zawikłania, a rozruchy w Rosyi wywierają silny wpływ i podniecają w wysokim stopniu umysły niezadowolonych Persów. Dramat krwawy rozegra się, według przewidywań Misyonarzy, na ziemi perskiej w niedalekiej przyszłości, który może

znowu zatrze wszelkie ślady misyi. Niezadowolenie znacznej części ludności z powodu ustroju wewnętrznego musi być wielkie. W Persyi panami są muzułmanie, nimi opiekuje się państwo i wspiera ich na każdym kroku, chrześcijanie doznają tylko wzgardy i poniżenia. Ostatnie zeszyty misyj niemieckich (maj, czerwiec) kreślą smutne położenie chrześcijan. — „Chrześcijanin nie może sprzedać muzułmaninowi nic mokrego i płynnego np. mleka, masła, sera. Zwierzę ręką chrześcijanina zabite, wszelkie potrawy przezeń sporządzone, są nieczyste. Gdy chrześcijanin przy zakupnie towarów od muzułmanina, dotknie się ich ręką, usłyszy natychmiast obelżywe słowa: „Precz z ręką Giaurze, nie zanieczyszczaj mi rzeczy". Niedawno jeden z duchownych muzułmańskich głosił z ambony, że nawet domy stawiane przez chrześcijan są nieczyste, gdyż budowa należy do robót mokrych, — a zatem mieszkania wasze, mówił muczeid, które zbudowali chrześcijanie, są nieczyste i modlitwy tamże odprawiane są nieważne. Odtąd pozbawiono robotników chaldejskich, biegłych we wszelkich rzemiosłach, zarobku".

Wielką krzywdą dla ubogich chrześcijan jest sposób wybierania urzędników. Na opróżnione urzędy dostają się nowi urzędnicy przez licytacyę. Im więcej jest pretendentów i im większa chciwość u dygnitarza nominującego na urzędy, tem większe sumy trzeba płacić za otrzymanie urzędu. Pretendent, który się dostał na urząd, zadłużył się na wysoki procent, nie dostaje od rządu żadnej pensyi, a jednak chce się uiścić nie tylko z pożyczki, ale utrzymać rodzinę, zaoszczędzić pieniędzy na przyszłość i opłacić liczną służbę. Dzieją się więc straszne nadużycia, zwłaszcza jeżeli chodzi o chrześcijan, bo oni choć niewinni, to muszą płacić wysokie sumy, aby za takich byli uznani. Muszą więc biedni chrześcijanie pracować na swych gnębicieli, którzy zwłaszcza przy ściąganiu podatków dopuszczają się nieludzkich nadużyć; a każde bezprawie uchodzi im bezkarnie, bo w sądzie nie przyjmuje się nawet świadectwa chrześcijan przeciwko muzułmanom. Podatki i zdzierstwa pozbawiają chrześcijan na-

wet środków niezbędnych do życia i stądto liczna ich emigracya za Kaukaz, a nawet do Ameryki. Rodziny swe zostawiają biedni emigranci pod opieką Misyonarzy i S. S. Miłosierdzia. Nie zawsze udaje się powrót do ojczyzny z krwawo zapracowanym groszem, bo powracający stają się częstokroć ofiarą dzikich Kurdów i Czerkiesów.

Największą krzywdę wyrządza jednak chrześcijanom prawo t. zw. Dżadid-el-Islam, t. j. prawo nawróconych na islam. Zdarza się często, zwłaszcza u nestoryan, że żona porzuca swego męża. Wtenczas bardzo chętnie przyjmuje ją muzułmanin jako jedną ze swoich żon. Odtąd jednak wzbroniony jest jej powrót do chrześcijaństwa. Nie pomogą jej żale i płacze, nie pomogą skargi rodziny, gdyby się odważyła ogłosić się napowrót chrześcijanką, spotyka ją śmierć. Muzułmanie czyhają na takie wypadki, gdyż renegotka dziedziczy majątek rodziców braci i krewnych. I tak, gdy umrze np. brat renegatki, majątku po nim nie dziedziczą dzieci, lecz siostra, która przyjęła muzułmanizm, a względnie jej pan. I w ten sposób dziesiątki majątków chrześcijańskich niknie i zbogaca muzułmanów. Na tle tego prawa dzieją się liczne nadużycia, bo mahometanie po prostu uprowadzają córki chrześcijan z pomocą pochlebstw lub gróźb i zostają panami chrześcijańskich majątków. Przeciw temu bezprawiu zaprotestowali wszyscy posłowie europejscy. Nasser-Eddin-Szach wydał firman znoszący Dżadid-el-Islam, lecz sprzeciwił mu się trybunał kościelny (szarriat) i bezprawie to istnieje do dziś w złagodzonej formie.

Takich krzywd doznają chrześcijanie ze strony wewnętrznego ustroju państwa, a jednak nie mogą się spodziewać obrony od rządu także przed wrogiem z zewnątrz. Prawdziwym biczem Bożym Persyi są Kurdowie, bitni górale, którzy z wysokich swych siedzib spuszczają się w urodzajne doliny Persyi, łupią i sieją na wszystkie strony przerażenie. Nędzne wojsko perskie nie potrafi stawić oporu, a niedawno Dszafar-Agha, dowódzca Kurdów, na czele stu ludzi rozgromił 1000 uzbrojonych Persów. Lecz tak, jak w niebezpie-

czeństwie przed Kurdami z tchórzostwem uciekają perscy żołnierze, tak, gdy minie niebezpieczeństwo, a w ręku mają jakiegoś Kurda, potrafią być dzielnymi i wymierzają mu iście barbarzyńską sprawiedliwość. Nieszczęśliwego Kurda, zakutego w dyby, stawiają przed lufą armatnią i wystrzałem pozbawiają go życia.

Do tych nieszczęść przyłączyła się jeszcze w tym roku klęska elementarna. Plony na polach Persyi zniszczyły szczury polne i czerwie, a szkody są tak wielkie, że zbiory tegoroczne nie wystarczą do wyżywienia nawet setnej cząstki ludności, a cena chleba jest 6 razy wyższą niż zwykle. W takich warunkach praca misyjna nie może wydawać obfitych owoców.

Dziś na $9^1/_2$ miliona mieszkańców Persyi jest 15.000 katolików, nad którymi pracuje 20 Ks. Ks. Misyonarzy. Do katolików należą prawie wszyscy Chaldejczycy i część Ormian. Chaldejczycy trudnią się przeważnie rolnictwem zwłaszcza na równinie Salmas. Ludność to uboga, która przeciętnie za jednego franka dziennie, musi zaspakajać potrzeby częstokroć całej rodziny. Ormianie mieszkają w górach, trudnią się przeważnie kupiectwem. Na katolicyzm nawracają się Ormianie schizmatyccy bardzo trudno; są oni przeważnie usposobienia rewolucyjnego, dlatego też przyjąć katolicyzm znaczy u nich tyle, co wyrzec się usposobienia rewolucyjnego, czyli przestać być Ormianinem. Bardzo trudno nawracają się także nestoryanie, bo księża nestoryańscy sprzeciwiają się wszystkiemi siłami. Nawróciło się tylko kilku księży nestoryańskich, których Misyonarze zmuszeni są utrzymywać. Święcenia otrzymali przez symonię, wszyscy są żonaci. A księży nestoryańskich jest bardzo wiele. W samej Urmii jest 3 biskupów nestoryańskich, wszyscy oni bez wyboru święcą na księży, jeżeli im się wypłaci oznaczoną taksę. Obowiązki tych księży ograniczają się zresztą do tego, że 3 lub 4 razy w roku odprawiają mszę św., chrzczą dzieci w Wielką sobotę i w wigilię Zielonych Świąt i błogosławią małżeństwa. Biskupstwo u nestoryan jest dziedziczne i przechodzi zawsze

z wuja na najstarszego wnuka. Biskupi i księża nestoryańscy nie odznaczają się nieprzyjaznem usposobieniem względem katolików, często można słyszeć ich zdanie: „wasza religia jest lepsza niż nasza, ale ciężka". Lud nestoryański jest bardzo biedny i często używa przemysłu do gromadzenia jałmużn. Jedni udają, że są kapłanami, inni, że są pielgrzymami z Ziemi św. Pierwsi odprawiają coś podobnego do mszy św., drudzy sprzedają fałszywe relikwie i znajdą zawsze podostatkiem naiwnych i pobożnych Moskalów, których oszukują.

Taką jest w krótkości historya misyi perskiej, a jeżeli postępy ewangelii są powolne, to synowie św. Wincentego a Paulo, mają jednak olbrzymie zasługi, bo uratowali resztki katolików od herezyi, którą tu szerzyły misye protestanckie. Już od r. 1834 zaczęli protestanci szerzyć w tym kraju swe błędy, tłómaczyli kilka razy biblię, zakładali szkoły i inne zakłady dla swej propagandy. Pracują tu przedewszystkiem predykanci z Ameryki, zorganizowana misya angielska i prezbyteryanie. Postępy ich misyi, nie przynoszą im jednak chluby. Że zaś misye katolickie postępują ciągle naprzód, o tem najlepiej świadczy protestant Gundert w dziele „o misyach protestanckich", gdzie się żali na rząd perski, że taki przekupny, ale najbardziej nie może rządowi darować tego, że się pozwala przekupić papieżowi. Księża Konfratrzy potrafili sobie zdobyć u wiernych miłość i uznanie swą pracą apostolską. Gdy w r. 1870 zawrzała wojna Francyi z Prusakami, wdzięczni katolicy perscy chcieli spieszyć z pomocą ojczyźnie Ks. Ks. Misyonarzy, powstrzymano ich jednak, z takimi pomocnikami nie byliby się też zapewne Francuzi uchronili Sedanu.

Ks. J. Sosnowski.

O Siostrach Miłosierdzia w szpitalach Królestwa Polskiego.

Zmiana stosunków politycznych w Rosyi, zwolnienie cenzury, nadzieja autonomii Polski i poprawy stanu rzeczy, wywołała i poruszyła w prasie polskiej cały szereg problemów do rozwiązania i zadań do spełnienia. Z całego szeregu publikacyi chcemy, jako bliżej oba Zgromadzenia obchodzącą, podać treść tylko jednej książki pod tytułem: Medycyna w samorządzie, stan obecny lecznictwa publicznego w Królestwie Polskiem, jego braki i potrzeby. Wydane staraniem grona lekarzy warszawskich. Warszawa, 1906., stron 298.

Stuletni okres rządów biurokracyi rosyjskiej w Królestwie Polskiem powstrzymał ogólny rozwój kultury naszego narodu. Los ten stał się i udziałem szpitalnictwa naszego i hygieny publicznej. Szpitalnictwo w Polsce dorównywało w XVIII. wieku najkulturalniejszym narodom Europy, pod rządami biurokracyi rosyjskiej uległo jednak zupełnemu upadkowi tak, że dziś po 100 latach stoi niżej od najmniej kulturalnych części Rosyi. Szpitale i zakłady przemieniły się przedewszystkiem w posterunki akcyi rusyfikacyjnej, to też społeczeństwo usunęło się od nich zupełnie. Dziś, wobec spodziewanego samorządu, można, wykazując niesłychane braki na tem polu, przedstawić plan przyszłej działalności. To właśnie jest zadaniem powyższej książki, w której autorowie wyczerpują do dna warunki hygieny publicznej, poczynając od szpitali, a kończąc na kształceniu lekarzy. My chcielibyśmy zestawić tylko odnośne fakta do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, które wśród niesłychanego ucisku pracowały w tych zakładach i szpitalach przez cały wiek, aż wreszcie stanęły

dziś wśród lepszych warunków i po tylu latach nieco odetchnęły. Zgromadzenie Ks. Ks. Misyonarzy już wcześnie ustąpiło z Królestwa, spełniwszy również wielką i ważną rolę na polu szpitalnictwa, które wyłącznie objęły teraz tylko S. S. Miłosierdzia, jako jedyne zgromadzenie katolickie, tolerowane na dawnych ziemiach polskich.

Za czasów niepodległej Polski powstawały szpitale przeważnie z inicyatywy duchowieństwa tak świeckiego jak zakonnego. W r. 1775. państwo objęło opiekę nad szpitalami przez tak zwane Komisye szpitalne, które w r. 1875. zamieniono na Komisye dobrego porządku. Na końcu XVIII. i na początku XIX. wieku przemieniły się dopiero nasze szpitale w zakłady lecznicze, przedtem były to tylko dobroczynne przytułki; teraz więc zjawia się stała posługa lekarska i obok ubogich, starców, przyjmuje się chorych w celu leczenia. Małe szpitale parafialne zniesiono, pozostały tylko miejskie, rozporządzające większymi funduszami. Po rożnego rodzaju zmianach zaprowadzono w roku 1832. Radę główną opiekuńczą nad szpitalami z Radami opiekuńczemi po miastach. Społeczeństwo nasze, na cele humanitarne tak ofiarne, garnęło się do opieki nad szpitalami; do roku 1870. powstało ich 47 i wszystkie powierzono S. S. Miłosierdzia, których usługi wiekowe po szpitalach oceniało należycie tak polskie społeczeństwo, jak nawet i rząd prawosławny. Zwolna jednak już po roku 1832., a zwłaszcza po 1863. zaczęto usuwać obywateli Polaków z grona Rad opiekuńczych, a miejsca ich obsadzano jenerałami, komisarzami wojennymi i gubernatorami, którzy mieli teraz zastąpić „nieprawomyślnych“ Polaków. Około roku 1870. niema już w Radach opiekuńczych żadnego Polaka, i odtąd też rozpoczyna się niecna gospodarka biurokratyczna, dochodząca do ostatecznego bezprawia. Zastój ogarnął nasze szpitalnictwo mimo, że kraj od tego czasu niesłychanie się ekonomicznie rozwinął, a ludność miast w czwórnasób się pomnożyła. W dodatku w roku 1856. namiestnik wydał rozporządzenie, „że zakazuje się zawiązywania przez osoby prywatne insty-

chanego niezadowolenia i wzburzenia miejscowej ludności i zwykle w asystencyi wojskowej dopełniali tego urzędnicy. Wobec tak bezwstydnej i barbarzyńskiej gospodarki po szpitalach społeczeństwo usunęło się też od nich zupełnie, a ofiarność publiczna zamarła. Szpitale pozostały bez środków: wieczne ubóstwo, walka wprost z nędzą zaczęła odtąd cechować wewnętrzne życie naszych szpitali zwłaszcza prowincyonalnych; brak najprymitywniejszych udogodnień daje się uczuwać na każdym kroku. W dodatku, jakby dla powiększenia rozstroju, rozdrobniono administracyę szpitalną. Niezależnie w każdym szpitalu istnieją obok siebie: 1) lekarz naczelny, 2) kurator, 3) intendent i 4) inspektor szpitala, a obok tego w zarządzie spotykamy Siostry Miłosierdzia. Rząd, rusyfikując szpitale, wyjął z pod zarządu miejscowego prawosławne zakonnice, a poddał je zarządowi czerwonego Krzyża w Petersburgu; katolickie Siostry Miłosierdzia ulegają jednak miejscowemu zarządowi każdego szpitala, co ich położenie niesłychanie utrudnia, gdyż wystawia je na nieuszanowanie tych opiekunów i często, nękane moralnie szykanami, musiały z powodu brutalności zarządu opuszczać swoje stanowiska. Prawosławne Elżbietanki zato, uważając się za wszechwładne, rozpoczęły wnet kłótnie z tak skomplikowanym zarządem, przyczem dochodziło do scen gwałtownych i skandalicznych, zwłaszcza w Łodzi, Wyrozębach a przedewszystkiem w Siedlcach, gdzie po kilku miesiącach pobytu musiały je zastąpić inne mniszki prawosławne. Fundacye szpitali są coraz trudniejsze i stan ich dzisiejszy jest o wiele gorszy niż dawniej. W roku 1867. było na 10.000 mieszkańców łącznie z Warszawą 7 łóżek, w roku 1902. jest już tylko 5·8 łóżka (bez Warszawy na 10.000 — 3 łóżka, w r. 1902 — tylko 2 łóżka). Samą Warszawę jeszcze więcej upośledzono: w r. 1867. pod zarządem polskim na 10.000 mieszkańców było łóżek 82, a w r. 1902. już tylko 39, gdy tymczasem Paryż na 10.000 chorych ma łóżek 98, Kolonia 91 a Wrocław 87. Wobec tego wszystkie nasze szpitale są przepełnione, chorych kładzie się na siennikach na podłodze, to też

tutów dobroczynnych bez poprzedniego uzyskania w tej mierze zezwolenia komisyi rządowej". Po roku 1863. Rady opiekuńcze muszą naczelników żandarmeryi zawiadamiać o swych posiedzeniach. Wreszcie w roku 1870. Radę główną opiekuńczą zniesiono i ustrój nasz szpitalny połączono z Radą główną opiekuńczą w Petersburgu. Zato powstają teraz Rady dobroczynności publicznej, w skład których wchodzą sami urzędnicy nawet niższej kategoryi, jak żandarmi, strażnicy pograniczni, duchowni prawosławni, inspektorowie podatkowi, naczelnicy powiatowi, naczelnicy więzień i t. d. Kontrola rządowa, administracyjny język rosyjski i natarczywa rusyfikacya zniszczyły nasze szpitale; zwłaszcza popi prawosławni i Elżbietanki zaczęli traktować szpitale jako posterunki misyi religijnej, narzucając nawet konającym w brutalny sposób prawosławie, jak to miało miejsce n. p. w Szczebrzeszynie, Białej i indziej. Rady dobroczynności publicznej zaczęły swoje rządy od usuwania Sióstr Miłosierdzia, w których miejsce wprowadzano prawosławne Elżbietanki czerwonego Krzyża. W ten sposób straciły Siostry Miłosierdzia szpitale: w Ciechocinku, Grojcu, Lipnie, Lublinie, Wyrozębach, Sterdyniu, Białej, Przasnyszu, Kutnie, Zamościu, Szczebrzeszynie, Krasnymstawie, Milanowie, Radzyniu i we wielu innych miastach, które z bólem serca po wiekowej służbie miłosiernej opuszczać musiały. Rząd nie oglądał się przytem na żadne zapisy i wolę fundatorów; lekkomyślnie trwoniono fundusze szpitalne, budując za nie cerkwie, mieszkania wspaniałe dla Krzyżanek, jak n. p. w Szczebrzeszynie, Białej i po innych miastach. Dzieci po przytułkach sierót pochrzczono przymusowo po schyzmatycku, skoro tylko ustąpiły Siostry Miłosierdzia, jak to miało miejsce w Białej; źródła mineralne w Busku i Ciechocinku zabrali Rosyanie na swój wyłączny użytek, utrudniając koloniom dzieci polskich i S. S. Miłosierdzia przystęp do nich; zmieniano nazwy szpitali, usuwając katolickich Świętych a wprowadzając prawosławnych, jak: Sergiej, Georgiej, Mikołaj i t. d. Wszystkie te zmiany, a zwłaszcza usuwanie samych Sióstr Miłosierdzia, odbywały się wśród niesły-

tylko nędza ostatnia i ubodzy garną się do tych zakładów. Z pośród 84 powiatów Królestwa 29 nie ma żadnych szpitali, a biurokracya utrudnia budowanie nowych lub marnuje zebrane fundusze. W Końskiem materyał budowlany na szpital leży od r. 1867., podobnież i w Nowomińsku, choć gminy ofiarowały grunta i odpowiednie kapitały. W Sterdyniu i Wyrozębach szpitale miały po dwa folwarki i za rządów Sióstr Miłosierdzia potrafiły się utrzymać, dziś zamknięto już szpital w Sterdyniu, a drugiemu grozi to samo z powodu długów i malwerzacyi ze strony prawosławnych Elżbietanek. Same istniejące szpitale pozostawiają wiele do życzenia: urządzenia ich wadliwe, brak wentylacyi i centralnego ogrzewania nawet w pierwszorzędnych szpitalach; domy administracyjne i pomieszkania dla Siôstr wielce niewygodne, kuchnie szpitalne brudne i bez urządzeń nowszych, n. p. w szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie. Dezynfekcyi bielizny się nie zna, prosektorya nieznośne i wilgotne, n. p. w szpitalu Dzieciątka Jezus trupy po 24 godzinach są już zgniłe; posługacze i posługaczki śpią w kuchniach, po salach chorych. Łóżka są jeszcze drewniane, oświetlenie wadliwe, napływ chorych olbrzymi, n. p. etat chorych w szpitalu Dzieciątka Jezus obliczono na 600 osób, a zazwyczaj jest przeszło 800 chorych. Szpitale prowincyonalne są niemniej w złych warunkach, zwłaszcza, o ile mieszczą się w dawnych budynkach klasztornych, szkolnych albo wynajętych. Sami chorzy są ilościowo i jakościowo źle odżywiani. W szpitalach warszawskich koszt dzienny pożywienia chorego wynosi 20 kopiejek już od roku 1900. Biurokratyzm nie liczy się ani z warunkami istotnych potrzeb ustroju chorych ani z wahaniem się cen. O jakiemś indywidualizowaniu pożywienia według kategoryi chorych mowy być nie może. Na prowincyi pożywienie dzienne chorego wynosi 13—15 kopiejek; albo czyż może Siostra Miłosierdzia nakarmić 20 chorych dziennie za 2·60 rb., które jej wypłaca zarządca szpitala? a tak się dzieje po szpitalach na prowincyi. Ostatnia nędza szuka też schronienia po szpitalach, lud ich unika, bojąc się głodzenia.

Do rzędu najciemniejszych stron szpitalnictwa należy pielęgnowanie chorych. Trzy kategorye osób opiekują się chorymi: Siostry Miłosierdzia, felczerzy i służba niższa. Pomijając inne względy, Sióstr Miłosierdzia jest w szpitalach stanowczo za mało, by się należycie mogły zająć pielęgnowaniem chorych. Na głowie takiej Siostry spoczywa cała administracya oddziału, która pochłania jej główną część czasu, a to tem bardziej, że trzeba wciąż walczyć z brakiem najistotniejszych rzeczy, jak jedzenia, bielizny, ubrania a nawet termometrów. To też poza kłopotami gospodarczymi Siostra może znaleźć ledwie trochę czasu, by jako tako pomierzyć chorym ciepłotę i jaki taki rygor utrzymać wśród służby niższej. Jeszcze mniej powołani do opieki nad chorymi są felczerzy; są to pomocnicy przychodni, spędzający za lichem wynagrodzeniem jakąś godzinę lub parę w szpitalu. W tych warunkach główny ciężar obsługi chorych spada u nas na barki nieinteligentnej, brudnej, nieraz obdartej służby niższej. Na jednego posługacza lub posługaczkę wypada 12 do 16 a nawet 20 chorych; nadto są licho płatni i po strajku w lutym tego roku otrzymuje mężczyzna 7 rb. a kobieta 5·50 rb. miesięcznie. Płaca taka, ciężka praca, liche pożywienie, spanie po salach chorych lub we wilgotnych suterenach, ściąga naturalnie do służby szpitalnej ludzi najuboższych i niedołęgów, nie znajdujących miejsca gdzieindziej. Dalej zasługuje na zaznaczenie, że szpital takiej służbie, rekrutującej się często z nędzarzy, nie daje prócz fartuchów i bluz żadnej bielizny, to też za zasługę trzeba to policzyć Siostrom Miłosierdzia, że starają się wszelkimi sposobami choć w bieliznę posługaczy zaopatrzyć, by mniej swym brudem razili. Zdarzało się, iż Siostry szyły im koszule z worków, w których produkty do kuchni były dostarczane, albo poświęcano na to część płótna dla chorych przeznaczonego; jest to z ujmą dla chorych, lecz faktycznie niema tu innego sposobu wyjścia, skoro Rada miejska dobroczynności o takich potrzebach nic wiedzieć nie chce. Wobec takiego stanu rzeczy pielęgnowanie chorych jest wielce zaniedbane. Jeszcze

w dzień sprawa przedstawia się jako tako ze względu na to, że na salę zajrzy czasem lekarz lub Siostra Miłosierdzia i służba jest przeważnie na sali obecna. W nocy chory, pozostawiony bez wszelkiego dozoru, jest na łasce służby dyżurnej. W niektórych szpitalach nad służbą mają w nocy dozór S. S. Miłosierdzia, które po dwie kolejno obchodzą pawilony. W innych szpitalach i tego nawet niema. W tem na przykład położeniu znajduje się większy szpital Dzieciątka Jezus w Warszawie. Niemniej obsługa sal operacyjnych pozostawia wiele do życzenia. I tu znowu nieinteligentny służący spełnia wszystko; Siostra Miłosierdzia bowiem, zajęta innemi czynnościami w oddziale, ogranicza swój udział zazwyczaj do przechowywania i częściowego wydzielania materyałów opatrunkowych oraz do przyrządzania gazy jodoformowej.

Tego opłakanego stanu rzeczy nie można poprawić, bo lekarze szpitalni w swych obradach są skrępowani, a uchwał ich nie wykonują Rady nadzorcze, n. p. nie wykonano uchwały dodania czterech S. S. Miłosierdzia do szpitala Dzieciątka Jezus dla pełnienia dyżurow nocnych. Ogromne ograniczenie środków i metod leczniczych cechują zarządy naszych szpitali. Niemożliwą jest wprost jakakolwiek dyetetyka wobec 20 kopiejek dziennie, jakie Rada nadzorcza wyznacza na chorego, co jest niesłychanie nizkiem wobec wysokich cen targowych w Warszawie; stąd też produkty pożywienia są liche. Na środki lecznicze dla chorego płacą w Warszawie 8 kop. dziennie, w czem się mają mieścić lekarstwa, opatrunki, narzędzia chirurgiczne i t. d. Aptekami szpitalnemi zarządzają S. S. Miłosierdzia i felczerzy, lecz dopiero w tym roku pozwolił rząd na krótki kurs farmacyi dla nich, jaki urządził inspektor szpitali w Warszawie. We wielu szpitalach prowincyonalnych, walczących z ostateczną nędzą, niema nawet S. S. Miłosierdzia, więc chorzy są na łasce szpitalnych posługaczy; niema tam klasyfikacyi chorych, dezynfekcyi, wogóle panują tam stosunki niemożliwe w państwie cywilizowanem. Jednem słowem, gospodarka rosyjska przedstawia

się pod tym względem najhaniebniej. Popełniano i popełnia się na tem polu ciągłe nadużycia, nieznoszące wprost światła dziennego.

Opieka nad obłąkanymi znajduje się niemniej w smutnym bardzo stanie. Za czasów Rzeczypospolitej Polskiej mieli u nas Bonifratrzy 15 szpitali dla obłąkanych. Niektórzy z Bonifratrów zasłużyli się wielce około medycyny polskiej, jak ks. Perzyna, bracia: Niklaszewski († w r. 1641.), Genuin Modestus, nadworny lekarz króla Jana Kazimierza i inni. Oni to opiekowali się obłąkanymi mężczyznami, niewiasty znajdowały schronienie u S. S. Miłosierdzia. Obecnie jest 6 szpitali dla obłąkanych w Królestwie Polskiem, inne poznoszono, a fundusze ich jak i fundusze poznoszonych szpitalików parafialnych zniknęły gdzieś w tajemniczy sposób. Z pomiędzy tych 6 szpitali dwa tylko są pod opieką S. S. Miłosierdzia. W szpitalu w Krasnymstawie służba dopełnia opieki nad chorymi. W Lublinie w szpitalu św. Jana Bożego są prawosławne Elżbietanki, obok tego istnieje tu drugi szpital dla obłąkanych św. Wincentego a Paulo. Szpital ten, zbudowany w r. 1835. z ofiary Daniłowiczów, posiada kapitał żelazny 85.300 rb., powstały z oszczędności Szarytek za czasów, kiedy same zarządzały majątkiem szpitalnym, w skład którego wchodzi majątek Świdnik Duży, 765 morgów, łąka przy ogrodzie szpitalnym i 1500 morgów lasu. Zapomóg od rządu nie dostaje żadnych. Rada dobroczynności publicznej, złożona z Moskali, dbałych o swe kieszenie, odsunęła S. S. Miłosierdzia od zarządu dóbr i zamiast dawnych oszczędności naruszyła już kapitał żelazny w kwocie 14.000 rb. do dziś, żeby pokryć niedobory, pochodzące ze złodziejskiej gospodarki. Dziś szpital utrzymuje się głównie z opłat chorych — 60 kop. płaci się dziennie od umysłowo chorego. Pożywienie jest urozmaicone i wystarczające dzięki zapobiegliwości S. S. Miłosierdzia Szpital w Tworkach, największy w Królestwie, ma 725 umysłowo chorych; powstał za czasów autonomii Królestwa, przebudowany w roku 1891. S. S. Miłosierdzia jest w nim 11, stanowisko ich jest wielce utrudnione wobec

szczególnego uprzywilejowania elementu prawosławnego. Gospodarka niecna dochodzi tu do szczytu; szpital muszą utrzymywać gubernie bez względu na to, czy mają w nich chorych czy nie. Podatek na to wyznacza się z góry. Fundusz żelazny, składany od lat kilkudziesięciu, a dochodzący do 450.000 rb., znikł w ostatnich czasach bez śladu i wieści. Na jedną Siostrę wypada 37 obłąkanych. Opieka nad umysłowo chorymi stanowi bezwątpienia najsmutniejszą kartę tego szpitala, ale zato są cerkwie przy zakładach, pieniądze idą na Czerwony Krzyż, na dodatki dla urzędników Rosyan, wogóle nawet obłąkanych się rusyfikuje, co niektórych z nich, dotkniętych manią prześladowczą na tle politycznem, do wściekłości doprowadza.

Nakoniec wypada nam wspomnieć o sławnym zakładzie ks. Bodouina w Warszawie. I tu niecna gospodarka rosyjska zrobiła swoje. Dom ten założył w roku 1737. ks. Piotr Bodouin ze Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy, jako pierwszy „instytut do wychowania dzieci podrzuconych". Zakład ten przetrwał wszystkie burze i nieraz ulegał ostrej krytyce, zwłaszcza w czasach fałszywego liberalizmu. Ks. Ks. Misyonarze zdołali go jednak zawsze obronić. Dr. Wolff za czasów Księstwa Warszawskiego podawał bardzo radykalny projekt zupełnego zniesienia tego zakładu, „gdyż instytuty takie nigdzie (w Paryżu i Wiedniu) nie odpowiadają swemu przeznaczeniu, ani w widokach ekonomicznych, dążących do pomnożenia ludności krajowej, gdyż z dzieci, które tam przyjęte zostały, mała tylko liczba dochodzi do wieku dojrzałego; ani też w zamiarze moralnym, dążącym do zapobieżenia wielkim przestępstwom, mianowicie z morderstwa dzieci pochodzącym; przeciwnie psują moralność, gdyż podają sposobność lekkomyślnym małżeństwom pozbycia się takowym sposobem dzieci". Na zarzut ten słusznie odpowiada autor, że procesy t. zw. fabrykantek aniołków jaskrawo wykazują, że niemowlęta nie mogą być wychowywane w przedsiębiorstwach prywatnych, lecz jedynie celowi temu odpowiada instytucya społeczna, t. j. dom podrzutków. Zakład ks. Bo-

douina był potrzebnym dla kraju, a zwłaszcza dla Warszawy XVIII. wieku. W roku 1736. sam czcigodny założyciel zebrał 48 dzieci, po otwarciu zakładu zaraz w pierwszym roku dzieci było już 241; odtąd ze wzrostem miasta Warszawy i rozwojem ekonomicznym kraju wzrasta stopniowo i liczba dzieci. W r. 1768. dzieci jest 500, w 1790. — 800, w 1815. — 1980, w 1830. — 1785, w 1850. — 3440, w 1860 — 5835, w 1869. — 8165 a w 1871. — 13.155, najwyższa cyfra, jaką osiągnęła liczba dzieci pod zarządem polskim. W r. 1869. usunięto społeczeństwo polskie od zarządu tej instytucyi, opartej dotychczas na ofiarności publicznej i żywem zainteresowaniu się społeczeństwa. Do r. 1871., t. j. do roku, w którym Polacy mieli przewagę w Radzie dobroczynności, instytut stoi na wysokości intencyi swego założyciela i nawet w najcięższych dla kraju czasach Ks. Ks. Misyonarze i S. S. Miłosierdzia umieli znaleźć środki dla tych najbiedniejszych i najbardziej politowania godnych. Od r. 1871. liczba dzieci zmniejsza się ciągle i dochodzi do połowy tak, że dzisiejszy stan zakładu z 7185 dziećmi równa się stanowi w r. 1869., pomimo że Warszawa się trzykrotnie powiększyła, dobrobyt się podniósł, a proletaryat się powiększył. Smutny to obraz gospodarki Rady. Na to złożyły się i rządy biurokracyi: najpierw zniesiono kołowrotek t. j. maszynę, w którą układało się dziecko na zewnątrz domu, po nakręceniu koła odbierała je administracya domu. Metoda ta ma wielkie zalety, chroni matkę od wstydu, wyczekiwania na przyjęcie i t. p., ale ma też i strony ujemne, jak zbyteczna łatwość i, co za tem idzie, lekkomyślność w pozbywaniu się dzieci, utrata stanu cywilnego dziecka i t. d. Sposób więc ten zarzucono w Europie i wprowadzono na wzór francuski przyjmowanie dzieci oddawanych jawnie przez matki lub przez osoby upoważnione — to, co się we Francyi nazywa *à bureau ouvert*. Takie biuro zastała już Rada w domu ks. Bodouina obok kołowrotka, którego znieść się nie odważono. Teraz Rada znosi kołowrotek, a całą dobroczynność przy domu otacza coraz większemi formalnościami, aby się matki legitymowały, posiadały

paszport, świadectwo rządcy domu o ubóstwie, metrykę dziecka i t. d. W ten sposób biuro przyjęć stało się biurem policyjnem i to był ten zbawienny środek dla Rady, że liczba dzieci spadła do połowy i do dziś na tym poziomie się utrzymuje. Nadto dzieci przyjmują trzej intendenci, urzędnicy brutalni, zamiast S. S. Miłosierdzia, które od tego zajęcia usunięto, co naraża matkę na wstyd i niepotrzebne indagacye, a jeżeli weźmiemy jeszcze na uwagę szczególne uprzywilejowanie prawosławnych, to będziemy mieli obraz chytrych, a rzekomo roztropnych rządów biurokracyi. Przeciętnie przyjmuje się 1200 dzieci rocznie do zakładu. Uboga matka, najczęściej służąca, musi przynieść dziecko ochrzczone z metryką (w przeciwnym razie chrzci je pop prawosławny), różne świadectwa i otrzymuje numer, który jest zwykle o 400 i kilka wyżej, niż ten, który się przyjmuje; z reguły bowiem troje dzieci przyjmuje się codziennie do zakładu. Biedna matka musi więc czekać 133 dni, t. j. 4 i pół miesiąca na przyjęcie. Przez ten czas trzeba się tułać z dzieckiem, bo policya swoje nadsyła dziesiątkami i następstwo numerów zostaje opóźnione. Wobec takich utrudnień nic dziwnego, że przed zakładem wychowawczym uwija się dziś ciągle cała czereda kobiet rajfurek - stręczycielek, które za sutem wynagrodzeniem pośredniczą między zarządem zakładu a matkami. Te osoby zjawiły się zaraz po zniesieniu kołowrotka i pospolicie używają ich pośrednictwa ubogie służące, chcąc uniknąć wstydu, wyczekiwania na numery i t. d. Z tego okazuje się, że stary żłóbek albo kołowrotek św. Wincentego był jeszcze najlepszym i najprostszym środkiem ochrony dzieci i matek. Na etacie znajduje się w zakładzie 120 dzieci; za dziecko przy piersi płaci się 2 rb., a 1·50 rb. za dziecko na wsi do lat 7; mamka młodsza otrzymuje 5 rb. miesięcznego wynagrodzenia, starsza 6 rb. Po dawnych budowlach, wzniesionych za ofiarny grosz społeczeństwa polskiego, wybudowano dopiero przed $3^1/_2$ laty nowy dom na gruntach folwarku Świętokrzyskiego. Zakład sam jest dla 7000 dzieci stanowczo za szczupły, w dodatku nie dba się w nim o ele-

mentarne wykształcenie dzieci, ani o naukę rzemiosł; jedynie rusyfikacyę popiera się całą forsą, bo dano rosyankę za nauczycielkę dla dzieci polskich i katolickich. Jednem słowem, dziś pod takim zarządem zakład nie odpowiada swemu celowi i nie spełnia swego zadania. Należy znieść biuro przyjęć, a czynnność tę powierzyć jak dawniej S. S. Miłosierdzia. Wogóle instytut ks. Bodouina, jak powstał z potrzeb społeczeństwa, musi znowu wrócić do rąk tegoż społeczeństwa, jeżeli ma spełnić swoje zadanie i odpowiadać swemu celowi.

Oto krótki szkic potrzeb naszego szpitalnictwa w Królestwie; zaiste, w smutnem znajduje się położeniu. Wśród tego stanu rzeczy, w tej nędzy, wyobraźmy sobie S. S. Miłosierdzia; jakiegoż zahartowania w powołaniu, jakiegoż poświęcenia im potrzeba, żeby wytrwać na tak trudnych stanowiskach. Może z tego powodu pochodzi pewien brak powołań do S. S. Miłosierdzia, na który już kilkakrotnie uskarżał się w prasie warszawskiej ks. Brykczyński? Społeczeństwo polskie rozumie dobrze trudne położenie S. S. Miłosierdzia, to też za swą pracę miłosierną cieszą się sympatyą ogółu i najzupełniejszem bezpieczeństwem nawet w czasach tak burzliwych jak obecne. Rząd prawosławny zapomniał i nie chce dziś wiedzieć o ich usługach we wojnie krymskiej i tureckiej i powoduje się tylko zyskiem, unikając ostatecznej krzywdy i prześladowania. Jeszcze większa krzywda dzieje się społeczeństwu, które w zamian za olbrzymie podatki nie doznaje żadnych dobrodziejstw ze strony rządu. W r. 1903. podatki z Królestwa przyniosły rządowi 141,793.601 rb. dochodu; z tego na utrzymanie wojska w Polsce wydano 101,583.269 rb., a zatem 40 milionów pozostaje czystego dochodu, które idą na ogólne potrzeby państwa w głąb Rosyi. Nadzieja poprawy stanu rzeczy była niestety zbyt krótką i dziś znowu musi ustąpić na czas nieograniczony.

Ks. Jan Rzymełka.

KRONIKA.

Niemcy. — Nowe domy Sióstr Miłosierdzia. List ks. Juliusza Schreiber'a do Najprzewielebniejszego ks. Generała, A. Fiat. *Kolonia,* dnia 22. grudnia 1905 r. Rok 1905 ma się ku schyłkowi, muszę więc czemprędzej donieść Najprzewielebniejszemu O. Generałowi o kolejach, jakie przechodziły Siostry Miłosierdzia w Niemczech i o rozwoju tej prowincyi.

Najprzód poniósł dom centralny w Kolonii niepowetowaną stratę wskutek śmierci czcigodnej Siostry Stiebor. Przeszło 30 lat była ona przełożoną tego domu, przetrwała srogie prześladowania religijne, a kiedy wreszcie jutrzenka lepszej przyszłości zabłysła dla Sióstr Miłosierdzia, zasnęła spokojnie w Panu, polecając pieczę nad prowincyą Siostrze Katz, która już od kilku lat była jej prawą ręką. Zacna ta Siostra jest dzisiaj przełożoną prowincyi niemieckiej.

Prowincya w 1905 r. powiększyła się o 40 Sióstr, przyjętych do seminaryum; pomimo tego nie mogliśmy zadośćuczynić nie tylko nowym zapotrzebowaniom, ale ani istniejących już domów obsadzić dostateczną liczbą Sióstr; domy te, dzięki Bogu, rozwijają się tak, jak sobie tego życzymy.

Najważniejszym faktem, jaki zaszedł w tym roku, jest bezwątpienia osiedlenie się Sióstr Miłosierdzia w Berlinie. Geneza tego wypadku jest następująca. Pod koniec 1904 r. dawałem rekolekcye w jednym z domów Sióstr Miłosierdzia w Kolonii. Tutaj to odwiedziły mnie dwie panie, z których jedna była żoną Trimborn'a, sławnego posła do parlamentu, a druga małżonką doktora Kauté z Berlina. Pani Kauté jest

krewną rodziny Villers, naszych fundatorów w Malmedy, druga zaś, Pani Trimborn, pochodzi z tamtych właśnie okolic; w czasie pobytu swego w tych stronach miała ona niejednokrotnie sposobność poznać Siostry Miłosierdzia i żywiła ku nim wielką sympatyę. Dowiedziawszy się więc, że pani Kauté poszukuje Sióstr do zakładu leczniczego swego męża, gorąco jej poleciła Siostry Miłosierdzia. Pani Trimborn, przyjechawszy do Kolonii, wymownemi słowy opisała mi wspaniały zakład dra Kauté, w którym najsłynniejsi lekarze Berlina umieszczają swych chorych, przybywających tutaj z całej Europy na kuracyę. „Niestety, Łaskawa Pani, odpowiedziałem, te widoki nas wcale nie wabią! Siostry Miłosierdzia nie są dla bogatych, owszem, ich udziałem są ubodzy“. „Co do tego, odparła wymowna protektorka, to pan dr. Kauté znajdzie bezwątpienia środki dla zaspokojenia miłościwej działalności córek św. Wincentego a Paulo“.

W kilka dni później odwiedził mnie dr. Kauté, a wynik rozmowy naszej był ten, że z końcem roku 1905 zakład jego, zamiast 28 Sióstr, o które prosił, otrzymał dziesięć.

Z kolei odwiedziłem sam sanatoryum, na którego wzorowe urządzenie odpowiadające wymaganiom naszych czasów, pan Kauté wydał przeszło milion marek z własnego majątku. Z kontraktu, zawartego ze Siostrami, przytaczam tu dwa bardzo korzystne punkta: 1) Żeby uczcić św. Wincentego, który chce, żeby jego córki były sługami ubogich, zobowiązuje się dr. Kauté wystarać się w Berlinie o dom dla Sióstr Miłosierdzia, w którymby mogły poświęcić się pracy nad biednymi; 2) Doktor Kauté płacić będzie z własnych dochodów 5.000 marek rocznie na utrzymanie tegoż domu.

Szesnastego sierpnia wieczorem przybyliśmy do Berlina. Około 5-tej godziny dał się słyszeć głos konduktora: „Berlin, Zoologischer Garten!“ „To nasza stacya, trzeba wysiadać. Co też publiczność powie na widok nieznanych kornetów. Czy starczy powozów na 25 osób?“ Ale oto nadchodzi pan doktor Kauté z żoną — na przywitanie swych gości. „Czy są powozy, panie doktorze? — zapytałem. „Nie potrzeba!

Do sanatoryum niedaleko, pójdziemy pieszo". Ruszyliśmy pieszo do miasta. Na czele pochodu szedł doktor Kauté, który w wysokim kapeluszu, przy swej wyniosłej, imponującej postaci robił wrażenie generała, kroczącego na czele swego sztabu. Po prawej jego stronie szedłem ja w sutannie, jak w Kolonii. O kilka kroków za nami szła pani Kauté pomiędzy Siostrą wizytatorką i Siostrą przełożoną, a za niemi cały szereg Siótr i postulantek. Kroczyliśmy tak przez ulice miasta, pożerani oczyma ciekawych przechodniów. Zaledwie uszliśmy około 50 kroków, zobaczyliśmy wspaniały kościół z wielką złocistą kopułą, na której wznosił się wielki krzyż. Sądziliśmy, że jesteśmy w katolickim kraju, radość nasza była przeto wielka. Dowiedzieliśmy się jednak, że to nie kościół katolicki ale protestancki, zbudowany na cześć Wilhelma I., skąd nosi nazwę „Kaiser Wilhelm Gedächtniskirche". Sanatoryum rzeczywiście było niedaleko. Po 4 lub 5 minutach byliśmy u celu podróży. Najpierw odwiedziliśmy Przenajświętszy Sakrament. O wyznaczonej godzinie zgromadziliśmy się znowu w kaplicy, odśpiewaliśmy *Veni Creator*, poczem przemówiłem kilka słów do mych nielicznych słuchaczy, przypominając im cel naszego przybycia i zaznaczając sposób, w jaki będziemy się starali przyczynić do pomyślnego rozwoju tego zakładu. Błogosławieństwo Przenajświętszym Sakramentem, pieśni „Matko Miłosierdzia" i „Uzdrowienie chorych" zakończyły to wzniosłe nabożeństwo, poczem zabraliśmy się do dzieła.

Wypada mi też wspomnieć o dwóch nowych fundacyach, o których Przewielebnemu Ojcu Generałowi później obszerniej doniosę. Otrzymaliśmy wojskowy zakład sierót w Wittlich nad Mozelą. W Akwisgranie w mieście Karola Wielkiego na przedmieściu Burtscheid, sławnem gorącemi źródłami, otworzyły Siostry Miłosierdzia w ubiegłym roku 4-ty dom. Jest to prawdziwe dzieło św. Wincentego a Paulo, o czem już świadczy sama nazwa, niemiecka: „Krüppelheim". Przyjmują tam i wychowują dzieci-kaleki oboja płci i starają się je o ile możności tak dalece wykształcić, ażeby same na życie zarabiać mogły. Sądzę, że w przyszłym roku dzieło to

rozwinie się pomyślniej i że będę mógł Przewielebnemu Ojcu Generałowi udzielić radosnych o niem wieści.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków-Kleparz. — Z ubiegłego kwartału mamy do zanotowania wypadki pierwszorzędnego znaczenia dla naszej prowincyi. Najczcigodniejszy ks. Kiedrowski po 6-letnich rządach ustąpił ze stanowiska Wizytatora i Dyrektora S. S. Miłosierdzia w prowincyi krakowskiej, bo siły fizyczne, podkopane długoletnią pracą, nieraz odmawiały posłuszeństwa. P. Bóg wplótł do bogatego wieńca jego zasług zaszczytny liść za trudy, podejmowane w ostatnich latach dla rozszerzenia naszej działalności. Ś. p. ks. Soubieille, przyjeżdżając do Krakowa, zastał kilku wyczerpanych starców, a zostawił wielką i kwitnącą prowincyę, Najczcigodniejszy ks. Kiedrowski przesunął jej granice za morze do jednej i drugiej Ameryki. Thomaz-Coelho, Lucena i Prudentopolis w Ameryce Południowej, New-Haven, Couskohoken i Derby w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej — to osady wzniesione jego ręką; równocześnie zaś w Galicyi wprowadził nasze Zgromadzenie do Sarnek, Kaczyki, Białego Kamienia, Tarnowa, wreszcie do Milatyna, za jego rządów podniosła się liczba księży do 89. Siostry Miłosierdzia objęły podczas jego dyrekcyi 5 posterunków w Krakowie (Dobroczynność, Szpital garnizonowy na Wawelu, Klinikę okulistyczną i główną, Seminaryum biskupie) i 4 na prowincyi: Żółkiew, Turka, Skałat i Biała.

Zakreśliwszy nam tak szerokie pole do żniwa i przygotowawszy doń robotników, sam się usunął, składając ster prowincyi w rękę młodszą. Przewielebny O. Generał, zaznaczając z radością w okólniku pomyślny rozwój obydwu Zgromadzeń w naszej prowincyi, dodał, że „właśnie dla swego niezwykłego wzrostu potrzebują na czele Misyonarza, któryby obok przymiotów umysłu i serca, jakich wymaga to ważne stanowisko, posiadał także zdrowie odpowiednie do znoszenia trudów, związanych z obowiązkami Wizytatora

i Dyrektora". Uwzględnił więc prośbę Najczcigodniejszego ks. Kiedrowskiego, uwalniając go z podwójnego urzędu; zostawił mu tylko kierownictwo chełmińskiej prowincyi Sióstr Miłosierdzia. W tym samym okólniku z 24-go kwietnia b. r. doniósł nam Przewielebny O. Generał o nominacyi następcy: „Sądzimy, że znaleźliśmy tego Misyonarza w osobie ks. K. Słomińskiego, Przełożonego domu w Kaczyce. Obowiązki, które już spełniał w Zgromadzeniu, przygotowały go do tych, które mu dziś przeznaczamy. Ufamy, że pod jego gorliwem i sumiennem kierownictwem dwie Rodziny św. Wincentego będą się w Polsce coraz więcej rozwijały, starając się zawsze o to, żeby w ich łonie kwitnął duch Świętego naszego Ojca, i żeby Reguły, przez Niego nam przekazane, wiernie były zachowywane".

Najczcigodniejszy ks. Wizytator Słomiński rozpoczął swoje rządy pod znakiem szczególnego błogosławieństwa Bożego, bo na zaproszenie biskupa kieleckiego, ks. Kulińskiego, otwarł nam pod pracę misyjną ziemię, przez 2 wieki użyźnianą znojem naszych praojców z prowincyi warszawskiej. Dnia 16-go czerwca wyruszyło do Królestwa 4 naszych Ks. Ks. Konfratrów, a za nimi poszły życzenia i modły obydwu Zgromadzeń z prowincyi krakowskiej, zalecone specyalnym listem okólnym N. ks. Wizytatora. Niebawem sam ks. Wizytator wyjechał do Częstochowy, żeby tam naszą sprawę złożyć u stóp Matki Boskiej, poczem udał się do Warszawy, gdzie ks. prałat Jełowicki, proboszcz przy kościele św. Trójcy na Solcu, poprosił o misye dla swych parafian. Ponieważ lud przez cały tydzień zajęty jest w fabrykach, miano kazanie wygłaszać tylko w niedziele i święta (po 3) przez 2 miesiące, natomiast dni powszednie wyznaczono na spowiedź św., aby dusze, poruszone niedzielnemi naukami, mogły się swobodnie oczyścić w Sakramencie pokuty. Pracę rozpoczął ks. Stefan Król z Nowej Wsi przygotowaniem dzieci do pierwszej Komunii św.; potem do pracy misyjnej przybył z pomocą ks. Rossmann, wreszcie ks. Superyor Gaworzewski zajął miejsce ks. Króla, który pojechał wesprzeć Ks. Ks. Konfratrów w dyecezyi kie-

leckiej. Rozpoczęliśmy więc pracę od razu na dość szerokim obszarze w Królestwie Polskiem. Jeżeli ś. p. ks. Soubieille odbudował z ruin polską prowincyę, N. ks. Kiedrowski rozszerzył ją za ocean, to wolno nam mieć w P. Bogu nadzieję, że Najczcigodniejszy ks. Wizytator Słomiński, poprowadzi nas tam, skąd wyszła cała nasza prowincya — za kordon.

Na stanowisko superyora w Kaczyce, opuszczone przez ks. Wizytatora Słomińskiego wyjechał ks. Wojciech Grabowski, N. ks. Kiedrowski objął urząd przełożonego w Sokołówce.

Parana. — *Lagoa Suja.* Poświęcenie szkoły w Lagoa Suja. Już w ostatnim „roczniku" zaznaczono, że szkoła budowana z naszej inicyatywy w Lagoa Suja, jest już na ukończeniu; *Gazeta Polska* w Brazylii z 17. maja b. r. podaje nam już opis uroczystości jej poświęcenia, dokonanego przez ks. Superyora Bajera.

„Na Lagoa Suja wielkie święto, uroczystość poświęcenia budynku szkolnego, w dniu patrona całej Polski, św. Stanisława! Pogoda piękna, zjazd spodziewany liczny. W wigilię, chłopcy zwożą zieleń, drudzy ją wkopują, robią bramy tryumfalne, a Krystynka, Kasia i Marysia z drobniutkich gałązek tutejszego mirtu, plotą wieńce, aby ubrać obrazy i piękną salę szkolną wewnątrz budynku — musi być pięknie, boć pierwszy to występ a spodziewani są goście: Przew. ks. Bolesław Bajer, W. Sz. konsul p. Z. Okęcki, redaktor *Gazety Polskiej* i okoliczni nauczyciele. Komenda spoczywa w rękach miejscowego nauczyciela p. Hofmana, oraz prezesa i sekretarza towarzystwa. We wtorek zbiórka przy kaplicy na kolonii Krystyna. Pogoda piękna, luda huk. Po nabożeństwie dążą wszyscy do miejsca uroczystości. Około 12 rakiet dało znak, że jadą goście. Zagrzmiały moździerze, a gości spotyka prezes towarzystwa w asystencyi dwóch gospodarzy, podając staropolskim obyczajem: chleb, miód i sól i witając przybyłych krótką ale energiczną przemową, po której dziatwa pod kierunkiem p. Hofmana odśpiewała kilka pieśni. Z nauczycieli przybył p. Zawadzki z Pirangi i p. Lipski z Krystyny. Po przerwie na po-

siłek przeznaczonej następuje uroczysty akt poświęcenia, poczem sala wypełnia się, a dla kogo miejsca zabrakło, zostaje za domem. Pierwszy głos zabrał Przew. ks. Bolesław, sup. Ks. Ks. Misyonarzy. Mówił pięknie o koniecznej potrzebie oświaty, o zadowoleniu, jakie każdemu sprawia dzielność i praca Zarządu i wszystkich członków towarzystwa i wzywał wszystkich do takiego połączenia się w pracy dla dobra Kościoła i naszej narodowości, jak właśnie cudownym sposobem złączyły się cząstki ciała św. Stanisława po śmierci. Drugi przemawiał redaktor *Gazety,* dotykając różnych stron naszego życia i wreszcie przemówienia zakończył miły nam gość, p. Z. Okęcki. Po mowach, publicznie odczytano listę ofiarodawców i rachunki. Okazało się, ze dom szkolny stanął zgodną pracą 53 członków, ale na domie pozostał dług 147.000, na pokrycie którego urządzono loteryę fantową, na którą fanty znosił kto mógł, w tej liczbie i uczciwy sąsiad brazylianin Maneco. Dochód z loteryi wyniósł 187.700, co pozwoli Zarządowi pokryć długi i przystąpić do wybudowania koniecznej kuchni dla nauczyciela. O zmroku rozpoczął się bal, który ochoczo i w porządku wzorowym trwał do północy. Pozostało nam miłe wspomnienie spełnionego obowiązku a z przemówień gości zachęta do dalszej narodowej pracy".

Thomaz - Coelho i *Prudentopolis.* O przybyciu naszych Ks. Ks. Konfratrów do Thomaz-Coelho i objęciu przez nas nowego posterunku w Prudentopolis, podaje *Gazeta Polska* w Brazylii z 7. czerwca i 5. lipca następujące notatki:

„We wtorek ostatni dnia 5. czerwca, trzech Ks. Ks. Misyonarzy, ks. ks.: Kominek, Kandora i Dejewski przybyło z Krakowa — trzech nowych siewców stanęło na łanie, by rzucać zdrowe ziarna Bożego słowa, na urodzajną rolę z uczciwych serc ludu polskiego złożoną.

A w porę przybyli Ci wysłannicy miłości bliźniego i Bożej bojaźni — w porę, gdyż „zło" rozzuchwalone ludu potulnością, pełną garścią sieje kąkol i zaraźliwą bucha pianą.

Powitanie więc Wam zacni Siewcy i serdeczne pozdrowienie od tych, co z Ojców tradycyi ani źdźbła dotąd nie uronili. Witajcie nam!“

„Kościół na Prudentopolis ukończony! To radosna wieść dla wszystkich rodaków, a zwłaszcza dla tych, którzy się tymi dzielnymi wiarusami interesowali, podziwiając ich wytrwałość, ich pracę i oddanie się sprawie własnego kościoła. Po trudach licznych i przykrościach — ale mogą powiedzieć głośno innym dla przykładu: spokój i wytrwałość mury przebija i wieńczy zamiary! Radość ich będzie tem większa, gdy na stałe zamieszkają u nich Wni Ojcowie Misyonarze, którzy już w poniedziałek do nich pojechali. Są nimi Wny ks. Mięsopust jako przełożony i Wny ks. Chilaszek, znany już wszystkim rodakom ze swej pracy i kazań przepięknych. Wspólnemi siłami, łatwiej też dadzą się pokonać trudności przy pracy wewnątrz kościoła.

Prudentopolis zostaje podniesiony do godności municypium. Zarząd organizacyjny już wybrany i w przyszłym tygodniu odbędą się wybory. Prefektem zostanie prawdopodobnie ob. Durski, a do składu kamery municypalnej wejdzie ob. Lech jako radny“.

Biała. Siostry Miłosierdzia z polecenia Wydziału krajowego objęły 1. maja b. r. szpital w Białej, w miejsce pracujących tam dotychczas S. S. Boromeuszek. Stanowisko to jest dość trudne wobec zaostrzonych stosunków między Polakami a Niemcami, które sięgają czasem i poza próg szpitalny. Chorych jest przeciętnie 80, Sióstr wyznaczono 7 do ich pielęgnowania.

Zmarli Misyonarze:

Ks. Maksymilian Brzezikowski, 4. kwietnia 1906 r. w Warszawie, żył lat 74, w Zgromadzeniu 57.

Ks. Józef Di Maria, 2. kwietnia 1906 r. w Nettuno (Włochy), żył lat 67, w Zgromadzeniu 44.

Ks. Paweł Beau, 10. kwietnia 1906 r. w Froyennes (Belgia), żył lat 61, w Zgromadzeniu 22.

Ks. Antoni Loldemaison, 12. kwietnia 1906 r. w St. Flour (Francya), żył lat 50, w Zgromadzeniu 19.

Ks. Teodor Reul, 22. kwietnia 1906 r. w Quito, żył lat 57, w Zgromadzeniu 26.

Br. Wit Antoni Rufolo, 27. kwietnia 1906 r. w Neapolu, żył lat 82, w Zgromadzeniu 60.

Ks. Armand Chamballon, 30. kwietnia 1906 r. w Tours, żył lat 52, w Zgromadzeniu 32.

Ks. Eugeniusz Carillo, 29. kwietnia 1906 r. w Awila (Hiszpania), żył lat 39, w Zgromadzeniu 18.

Br. Franciszek Mac Namara, 3. maja 1906 r. w Phibsborough (Irlandya), żył lat 68, w Zgromadzeniu 45.

Ks. Jerzy Campbell, 14. maja 1906 r. w Dublinie, żył lat 64, w Zgromadzeniu 43.

Kler. Hipolit Codera 29. maja 1906 r. w Madrycie, żył lat 21, w Zgromadzeniu 5.

Ks. Teodor Lechaux, 2. czerwca 1906 r. w Paryżu, żył lat 67, w Zgromadzeniu 28.

Ks. Franciszek di Palma, 5. czerwca 1906 r. w Neapolu, żył lat 65, w Zgromadzeniu 48.

Br. Mikołaj Lamboroy, 3. czerwca 1906 r. w Theux, żył lat 51, w Zgromadzeniu 29.

Br. Franciszek Lopez, 13. czerwca 1906 r. w Alcorisa, żył lat 61, w Zgromadzeniu 39.

Kler. Dominik Leblanc, 17. czerwca 1906 r. w Theux, żył lat 25, w Zgromadzeniu 7.

Siostry Miłosierdzia:

S. Józefa Jaroszyk, umarła we Lwowie u św. Wincentego d. 5. maja 1906 r., żyła lat 35, w Zgromadzeniu 12.

S. Małgorzata Zubicka, umarła w Budzanowie d. 21. maja 1906 r., żyła lat 73, w Zgromadzeniu 50.

S. Honorata Paluszkiewicz, umarła we Lwowie u św. Maryi Magdaleny, żyła lat 27, w Zgromadzeniu 9.

R. I. P.

Kraków, drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.